

W 1981 r. Leszczyńskie Towarzystwo Kulturalne przy współpracy z Towarzystwem Miłośników Ziemi Kościańskiej, Rawickim Towarzystwem Kulturalnym oraz Wschowskim Towarzystwem Kultury ogłosiło konkurs na wspomnienia „Życie codzienne w okupowanych miastach i wioskach woj. leszczyńskiego w latach 1939–1945”.

Wpłynęło w sumie 14 prac, a wśród nich maszynopis wspomnień autorstwa Józefa Stasiaka liczący 58 stron, sporządzony w grudniu 1981 r. Jury konkursu na posiedzeniu w dniu 1 lutego 1982 r. właśnie jego pracy przyznało pierwsze miejsce.

Wspomnienia Józefa Stasiaka ukazują w ciekawy sposób pracę Polaków skierowanych do pracy przymusowej u niemieckich gospodarzy w okresie okupacji. Interesujące są także refleksje dotyczące postaw miejscowych Niemców (z Bojanowa i okolic) przed wybuchem wojny, jak i w okresie okupacji. Autor opisuje też tragiczny los Żydów z obozu pracy przymusowej, przetrzymywanych w folwarku Biały Orzeł należącym do majątku w Łaszczynie. Dość obszernie opisane jest wejście Rosjan do Bojanowa. Szczególnie intrygujące jest zniknięcie Stefana Kudelki we wrześniu 1939 r. i nieoczekiwane odkrycie tajemnicy tuż po wyzwoleniu.

W celu wzbogacenia przekazu wspomnień podjęto bardzo pracochłonną analizę rejestrów mieszkańców Bojanowa i okolicznych miejscowości z okresu dwudziestolecia międzywojennego i lat okupacji. Udało się dzięki temu pozyskać dodatkowe informacje o niektórych osobach, które występują we wspomnieniach Józefa Stasiaka. Umieszczono je w przypisach. Niektóre informacje przekazały USC w Bojanowie i USC w Rawiczu. Podziękowania za udzieloną pomoc przy ustalaniu etapów pracy zawodowej Józefa Stasiaka należą się także Domowi Kultury w Rawiczu.

Wspomnienia Józefa Stasiaka są bardzo interesujące, więc polecamy je uwadze Czytelników, którym bliska jest historia ziemi rawickiej, ukazana poprzez losy konkretnych ludzi.

Warto podkreślić, że wydanie wspomnień Józefa Stasiaka to kontynuacja inicjatywy podjętej przez Archiwum Państwowe w Lesznie w 2019 r. Wydano wówczas wspomnienia wojenne i okupacyjne Józefa Borowiaka.

Od redakcji



## Józef Stasiak

Życie w okupowanych miastach i wioskach  
województwa leszczyńskiego  
w latach 1939–1945

MIEJSCOWOŚCI: BOJANOWO, ROJĘCZYN,  
SOWINY, ŻYLICE, TRZEBOSZ

**Józef Stasiak**

**ŻYCIE W OKUPOWANYCH MIASTACH I WIOSKACH  
WOJEWÓDZTWA LESZCZYŃSKIEGO  
W LATACH 1939–1945**

**MIEJSCOWOŚCI: BOJANOWO, ROJĘCZYN,  
SOWINY, ŻYLICE, TRZEBOSZ**



**Józef Stasiak**

**ŻYCIE W OKUPOWANYCH MIASTACH  
I WIOSKACH  
WOJEWÓDZTWA LESZCZYŃSKIEGO  
W LATACH 1939–1945**

**MIEJSCOWOŚCI: BOJANOWO, ROJĘCZYN,  
SOWINY, ŻYLICE, TRZEBOSZ**

Leszno 2021

Opracowanie biogramu Józefa Stasiaka, informacji  
o konkursie na wspomnienia okupacyjne oraz przypisów:  
Barbara Ratajewska

Redakcja językowa:  
Janina Chodera

Projekt okładki i skład komputerowy:  
Miejska Biblioteka Publiczna  
im. Stanisława Grochowiaka w Lesznie  
– Irena Walachowska

© Copyright by Archiwum Państwowe w Lesznie

Wszelkie prawa autorskie i wydawnicze zastrzeżone.

Wydanie I

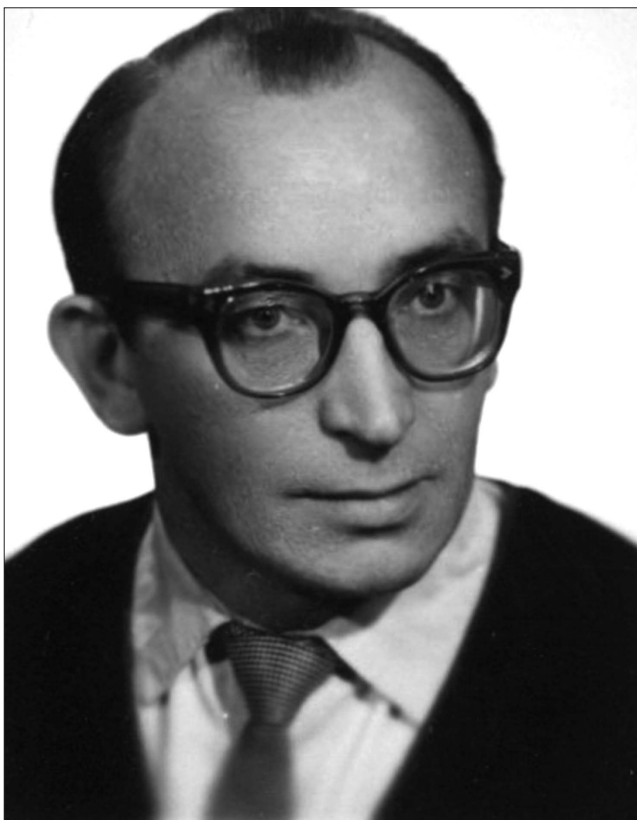
ISBN 978-83-947025-4-0

Wydawca:  
Archiwum Państwowe w Lesznie  
ul. Solskiego 71, 64-100 Leszno  
[www.archiwum.leszno.pl](http://www.archiwum.leszno.pl)  
65 526-97-19



Realizacja wydawnicza:  
Poligrafia Salezjańska w Krakowie

Ilustracja na okładce:  
Józef Stasiak – fotografia z wniosku o wydanie dowodu osobistego, 19 marca 1984 r., APL, zespół nr 34/1128/0, Urząd Miejski Gminy Rawicz, sygn. 4149, s. 50



1. Józef Stasiak – zdjęcie z wniosku o wydanie dowodu osobistego, 2 grudnia 1965 r.

APL, zespół nr 34/1128/0, Urząd Miejski Gminy Rawicz, sygn. 4149, s. 48



## O autorze wspomnień

Józef Stasiak urodził się 19 lutego 1922 r. w Niemczech (Gladbeck, Westfalia), w rodzinie Jana i Franciszki z domu Grzelak. Jego ojciec Jan Stasiak pochodził z miejscowości Kawcze (powiat Rawicz, gmina Bojanowo), gdzie urodził się 29 maja 1884 r. Jako młody chłopak wyjechał do Westfalii do pracy. Tam też 21 czerwca 1910 r., w miejscowości Gladbeck, zawarł związek małżeński z Franciszką Grzelak, urodzoną 18 lutego 1888 r. w miejscowości Biskupice (powiat Ostrów, gmina Nowe Skalmierzyce). W 1925 r. małżonkowie postanowili osiedlić się w Polsce. 15 sierpnia tego roku zamieszkali w Bojanowie. Jan Stasiak zatrudnił się w Gazowni Miejskiej.

Małżeństwo miało kilkoro dzieci: Jana (urodzonego 23 września 1911 r.), Franciszka (urodzonego 27 września 1913 r.), Marię (urodzoną 12 listopada 1918 r.), Józefa (urodzonego 19 lutego 1922 r., autora wspomnień) oraz urodzoną już w Bojanowie 27 września 1927 r. Irenę Teresę.

Józef Stasiak w latach 1929–1936 uczył się w Publicznej Szkole Powszechnej w Bojanowie, a następnie kontynuował naukę w istniejącej w mieście Państwowej Średniej Szkole Rolniczej. Jego edukację przerwał we wrześniu 1939 r. wybuch II wojny światowej – zaczęła się trwająca do stycznia 1945 r. okupacja niemiecka. 17-letni Józef musiał zapomnieć o szkole, został skierowany do pracy



w rolnictwie. Pracował kolejno u różnych gospodarzy w miejscowościach: Rojęczyn, Sowiny, Żylice i Trzebosz.

Po zakończeniu okupacji w 1945 r. mieszkał krótko z rodzicami w Bojanowie, a następnie 14 kwietnia 1945 r. wyprowadził się do Rawicza. W październiku 1947 r. zamieszkał w Żylicach, a latem 1948 r. ponownie przeniósł się z rodziną do Rawicza, gdzie mieszkał do końca życia.

W okresie powojennym Józef Stasiak pracował w wielu instytucjach. W kwietniu 1945 r. zatrudnił się jako pracownik biurowy na stacji PKP w Rawiczu. W kwietniu 1947 r. podjął pracę w Starostwie Powiatowym w Rawiczu, które po reformie administracyjnej przekształcono w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, gdzie zajmował się sprawami rolnictwa (piastował m.in. stanowisko zastępcy kierownika Wydziału Rolnictwa i Leśnictwa) do września 1953 r. Następnie był instruktorem w Powiatowym Domu Kultury w Rawiczu. Od kwietnia 1955 do października 1960 był zatrudniony w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej jako kierownik Oddziału Kultury, a następnie (do września 1961) w Miejskim Zakładzie Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej w Rawiczu. Ponadto (od października 1960 do października 1962) zajmował stanowisko kierownika Miejskiego Zakładu Gospodarki Komunalnej w Miejskiej Górze. W Powiatowej Radzie Narodowej w Sierakowie zajmował stanowisko inspektora spółdzielni wodnych (od października 1962 do maja 1964), a następnie był sekretarzem w Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej w Sierakowie (od maja 1964 do października

1967), podjął też dodatkowe zatrudnienie w Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolniczego w Lesznie (od czerwca 1965 do kwietnia 1966), kilka miesięcy był kierownikiem administracyjno-gospodarczym Państwowego Przedsiębiorstwa Surowców Wtórnych w Rawiczu (od kwietnia 1966 do lutego 1967). Na krótko zatrudnił się w oddziale PKS w Lesznie, jednak ze względu na konieczność opieki nad dziećmi, z pracy tej zrezygnował, o czym nadmienienia w życiorysie (ryc. 7). Nieco dłużej pracował jako kierownik Państwowego Ośrodka Maszynowego w Sarnowie (od lipca 1967 do marca 1969). Od lipca 1967 do momentu przejścia na emeryturę w grudniu 1981 pracował natomiast w Domu Kultury w Rawiczu. Jak już wspomniano, już wcześniej, bo w latach 1953–1955 był instruktorem w Powiatowym Domu Kultury w Rawiczu. W latach 1969–1976 Józef Stasiak był zatrudniony jako kierownik klubu „Piwnica”, jednocześnie w latach 1970–1979 był instruktorem Powiatowej Poradni Pracy K.O. (kulturalno-oświatowej) w Domu Kultury w Rawiczu, a w latach 1979–1981 pracował na stanowisku kierownika Działu Administracyjno-Gospodarczego. W okresie pracy w Domu Kultury w Rawiczu Józef Stasiak otrzymał kilka odznaczeń – m.in. w 1979 r. Rada Państwa przyznała mu Złoty Krzyż Zasługi, a w 1981 r. został wyróżniony przez Ministerstwo Kultury i Sztuki odznaką „Zasłużony Działacz Kultury”. W 1980 r. zdobył III nagrodę w organizowanym przez Wielkopolskie Towarzystwo Kulturalne konkursie pamiątkarskim „Działacze – Społeczeństwo – Kultura”.

Z okazji 80-lecia urodzin autora wspomnień ukazała się krótka wzmianka pt. *80-lecie ravicjanisty Józefa Stasiaka*, zamieszczona 13 lutego 2002 r. na stronie internetowej Rawicza<sup>1</sup>. Szerzej o jego działalności kulturalnej pisze Anna Konieczna w artykule *Ósma rocznica śmierci Józefa Stasiaka*<sup>2</sup>.

Józef Stasiak był trzykrotnie żonaty. W 1945 r. ożenił się z Teresą Kauch, którą poznał podczas pracy przymusowej w okresie okupacji w Trzeboszu. Małżeństwo miało kilkoro dzieci (Krzysztofa Jerzego, Jacka Józefa, Bogusławę Magdalenę, Gabrielę Ewę). Po śmierci żony Józef Stasiak ożenił się ponownie w listopadzie 1957 r. z Marianną Kaźmierczak. Małżeństwo miało jedno dziecko – Małgorzatę. Żona zmarła w 1959 r. Kilka lat później (1968 r.) Józef Stasiak ożenił się po raz trzeci – z Teresą z domu Stelmach. Para miała troje wspólnych dzieci: Adama, Piotra oraz Ewę<sup>3</sup>.

Józef Stasiak zmarł w Rawiczu 13 lipca 2005 r. w wieku 83 lat<sup>4</sup>. Natomiast jego żona Teresa nadal mieszka w Rawiczu.

---

<sup>1</sup> *80-lecie ravicjanisty Józefa Stasiaka*, <https://rawicz.naszemiasto.pl/80-lecie-ravicjanisty-jozefa-stasiaka/ar/c8-5489663> (dostęp: 12.12.2021).

<sup>2</sup> Anna Konieczna, *Ósma rocznica śmierci Józefa Stasiaka*, <https://www.google.com/search?client=firefox-b-d&q=osma+rocznica+%C5%Bmierci+Stasiak> (dostęp: 12.12.2020).

<sup>3</sup> Ze względu na RODO rodzina nie wyraziła zgody na publikowanie dokładnych dat ślubów Józefa Stasiaka, a także miejsc i dat urodzenia jego kolejnych dzieci.

<sup>4</sup> Życiorys Józefa Stasiaka opracowano na podstawie archiwaliów zgromadzonych w Archiwum Państwowym w Lesznie oraz danych przekazanych przez Dom Kultury w Rawiczu.

# Ilustracje:

182 Miejsowość Bojanowo ulica						
Nr. porządkowy	a) Nazwisko, dla małatek nazwisko panieńskie oraz z poprzedniego (ich) małżeństwa (w) b) Imiona (kolejność i pisownia imion według metryki urodzenia)	Imiona rodziców i nazwisko panieńskie matki	a) Data urodzenia b) miejsce urodzenia (miejscowość, gmina, powiat względnie kraj)	Zamieszkuje w charakterze: lokatora głównego, członka rodziny, sublokatora, pracownika	Zawód i stanowisko w zawodzie, stanowiące główne źródło utrzymania	Wyznanie (według metryki)
1		3	4	5	6	7
1	a) Kowalc	Jadwiga	a) 18.6.1884	lok. gł.	rolnik	rym. kat.
	b) Jan	Anna	b) Kowalc			
2	a) Kowalc	Stanisław	a) 11.6.1884	roln.	roln. ogł.	rym. kat.
	b) Franciszka	Joanna	b) Bojanowo			
3	a) Kowalc	Jan	a) 11.6.1884	roln.	roln. ogł. pow.	rym. kat.
	b) Franciszka	Joanna	b) Bojanowo			
4	a) Kowalc	Jan	a) 18.6.1884	roln.	roln. ogł. pow.	rym. kat.
	b) Franciszka	Joanna	b) Bojanowo			
5	a) Kowalc	Jan	a) 18.6.1884	roln.	roln. ogł. pow.	rym. kat.
	b) Franciszka	Joanna	b) Bojanowo			

2. Wpis w księdze mieszkańców Bojanowa dotyczący rodziny Jana i Franciszki Stasiaków, okres międzywojenny

APL, zespół nr 34/13/0 Akta miasta Bojanowo, sygn. 108, s. 192

Sierdusz - klasowa Publiczna Szkoła Powszechna

im.

w

Bojanowie (powiat: Kańcz)

Nr.

108 Rok szkolny 1936

## ŚWIADECTWO UKOŃCZENIA SZKOŁY

urodzony dnia 19 lutego 1936 r. w Stadbeck (Niemcy)  
(powiat: ~ ~ ~), religii (wyznania) n. kat.  
ukończył w roku szkolnym 1936 oddział siódmy szkoły  
klasowej, siedmio-oddziałowej, otrzymując stopnie następujące:

ze sprawowania się . . . . .	<u>dobry</u>
z nauki religii . . . . .	<u>bardzo dobry</u>
" " języka polskiego . . . . .	<u>dobry</u>
" " języka . . . . .	<u>~</u>
" " języka . . . . .	<u>~</u>
" " rachunków z geometrią . . . . .	<u>dobry</u>
" " przyrody, z przyrody żywej . . . . .	<u>dobry</u>
a mianowicie: z fizyki i chemii . . . . .	<u>dobry</u>
z higieny . . . . .	<u>bardzo dobry</u>
" " geografii i nauki o Polsce współczesnej . . . . .	<u>dobry</u>
" " historii . . . . .	<u>dobry</u>
" " rysunków . . . . .	<u>dobry</u>
" " robót ręcznych . . . . .	<u>dobry</u>
" " śpiewu . . . . .	<u>bardzo dobry</u>
" " ćwiczeń cielesnych . . . . .	<u>bardzo dobry</u>
robót kobiecych . . . . .	<u>~</u>
" " . . . . .	<u>~</u>

Wynik ogólny

dobry  
w Bojanowie, dnia 20 czerwca 1936 r.

Opiekun oddziału

Kierownik szkoły

UWAGA: Nauki przyrody żywej, historii Polski, historii powszechnej udzielana w szkole tej, zgodnie z programem nauczania, w oddziałach niższych.

### Skala stopni:

ze sprawowania się . . . . .	bardzo dobry	dobry	odpowiedni	niedostateczny
z nauki przedmiotów . . . . .	bardzo dobry	dobry	dostateczny	niedostateczny
wynik ogólny . . . . .	bardzo dobry	dobry	dostateczny	niedostateczny

3. Świadectwo ukończenia przez Józefa Stasiaka Publicznej Szkoły Powszechnej w Bojanowie, 20 czerwca 1936 r.

APL, zespół nr 34/ 992/0 Publiczna Szkoła Powszechna w Bojanowie, sygn. 9, s. 109



4. Nauczyciele i uczniowie Publicznej Szkoły Powszechnej w Bojanowie, 1934 r.

Źródło: Stanisław Jędraś, *Miasto i Gmina Bojanowo*, Leszno 2005, s. 104



5. Józef Stasiak – zdjęcie z wniosku o wystawienie tymczasowego zaświadczenia tożsamości, 4 października 1947 r.

APL, zespół nr 34/1128/0, Urząd Miejski Gminy Rawicz, sygn. 4149, s. 2



6. Józef Stasiak – zdjęcie z ankiety w sprawie wydania dowodu osobistego, 9 sierpnia 1962 r.

APL, zespół nr 34/1128/0, Urząd Miejski Gminy Rawicz, sygn. 4149, s. 45







8. Instruktorzy Domu Kultury w Rawiczu (pierwszy z lewej strony Józef Stasiak), lata 70. XX w.

APL, zespół nr 34/964/0 Dom Kultury w Rawiczu, sygn. 224

## **Jak doszło do spisania wspomnień przez Józefa Stasiaka**

W 1981 r. Leszczyńskie Towarzystwo Kulturalne przy współpracy z Towarzystwem Miłośników Ziemi Kościańskiej, Rawickim Towarzystwem Kulturalnym oraz Wschowskim Towarzystwem Kultury ogłosiło konkurs na wspomnienia „Życie codzienne w okupowanych miastach i wioskach woj. leszczyńskiego w latach 1939–1945”.

Zgodnie z opracowanym przez Barbarę Głowinkowską regulaminem konkursu, organizatorzy określili jego cztery cele: zachowanie świadectwa i pogłębianie wśród społeczeństwa znajomości realiów i warunków życia mieszkańców Ziemi Leszczyńskiej w latach okupacji, zainspirowanie szerokich warstw ludności do utrwalenia własnych doświadczeń i przeżyć z okresu II wojny światowej, ukazanie martyrologii Polaków w okresie 1939–1945 na terenie województwa leszczyńskiego oraz spopularyzowanie i udostępnienie szerszemu ogółowi doświadczeń lat 1939–1945 poprzez wydanie drukiem najwartościowszych prac.

Powołano jury konkursu w składzie: dr Aleksander Piwoń (dyrektor Archiwum Państwowego w Lesznie), dr Anna Żalik (zastępca dyrektora Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Lesznie), Antonina Chmielowska (starszy kustosz muzealny w Muzeum Okręgowym w Lesznie) oraz Jerzy Zielonka (dziennikarz „Panoramy Leszczyńskiej”).

Wpłynęło w sumie 14 prac, a wśród nich maszynopis wspomnień autorstwa Józefa Stasiaka liczący 58 stron, sporządzony w grudniu 1981 r. Archiwum Państwowe w Lesznie otrzymało je wraz z innymi materiałami Leszczyńskiego Towarzystwa Kulturalnego (zespół 34/265/0, Leszczyńskie Towarzystwo Kulturalne, sygn. 74).

Jury konkursu na posiedzeniu w dniu 1 lutego 1982 r. przyznało pierwsze miejsce pracy Józefa Stasiaka, drugie miejsce przypadło wspomnieniom Konstantego Kaczmarka, a trzecią nagrodę uzyskały prace Marii Wieckiej i Józefa Borowiaka.

Wspomnienia Józefa Stasiaka ukazują w ciekawy sposób pracę Polaków skierowanych do pracy przymusowej u niemieckich gospodarzy w okresie okupacji. Interesujące są także refleksje dotyczące postaw miejscowych Niemców (z Bojanowa i okolic) przed wybuchem wojny, jak i w okresie okupacji. Autor opisuje też tragiczny los Żydów z obozu pracy przymusowej, przetrzymywanych w folwarku Biały Orzeł należącym do majątku w Łaszczyźnie. Dość obszernie opisane jest wejście Rosjan do Bojanowa. Szczególnie intrygujące jest zniknięcie Stefana Kudelki we wrześniu 1939 r. i nieoczekiwane odkrycie tajemnicy tuż po wyzwoleniu. Wzruszające są wspomnienia dotyczące zatknięcia polskiej flagi na magistracie w Bojanowie, po opuszczeniu miasta przez Niemców.

Bardzo pracowita była analiza rejestrów mieszkańców z okresu dwudziestolecia międzywojennego i lat okupacji, sporo czasu zajęły też poszukiwania w zespołach archiwalnych w Archi-

wum Państwowym w Lesznie. Niektóre informacje przekazały USC w Bojanowie i USC w Rawiczu. Być może w przyszłości badania te będą kontynuować regionaliści z wymienionych przez autora miejscowości, gdyż nie udało się ustalić danych osobowych wielu osób.

Uważam, że wspomnienia Józefa Stasiaka są bardzo interesujące, więc polecam je uwadze Czytelników, którym bliska jest historia ziemi rawickiej, ukazana poprzez losy konkretnych ludzi.



## Józef Stasiak

### Życie codzienne w okupowanych miastach i wioskach województwa leszczyńskiego<sup>1</sup> w latach 1939–1945\*

Miejscowości: Bojanowo, Rojęczyn, Sowiny, Żylice, Trzebosz<sup>2</sup>.

Czas: 1 września 1939 r. i 22 stycznia 1945 r.<sup>3</sup>

Konkurs na wspomnienia? Za trzy miesiące  
przypada rocznica 42. wybuchu II wojny światowej,

---

<sup>1</sup> W 1939 r. Leszno było miastem powiatowym w woj. poznańskim i pozostawało w nim do reformy administracyjnej z 1974 r. – z wyłączeniem okresu okupacji, kiedy to znalazło się w obrębie Kraju Warty (Warthegau), w rejencji poznańskiej. W latach 1975–1998 miasto było siedzibą województwa leszczyńskiego. Po kolejnej reformie administracyjnej, od 1999 r. stało się miastem na prawach powiatu w województwie wielkopolskim.

\* W tekście zachowano osobiowości stylu autora. Uwspółcześiono pisownię i wprowadzono niezbędne poprawki i interpunkcyjne. Zachowano błędną lub niepewną pisownię nazwisk, przy czym w przypisach podano właściwą pisownię i znalezione o danej osobie informacje ze źródeł archiwalnych. W przypisach podano także prawidłową wersję cytowanych z pamięci przez autora tytułów lub fragmentów piosenek i wierszy. Zachowano liczne w oryginalnym teście złożenia rzeczownikowe, jak np.: *górnik-emeryt, majster-stelmach, knecht-parobek, morderca-żołnierz, gospodarze-Niemcy, robotnicy-Polacy, weterynarz-Polak, synalek-porucznik*, choć nie wszystkie należą do zestawień typu *laska-parasol, kupno-sprzedaż* – przyp. J. Ch.

<sup>2</sup> Bojanowo (miasto w pow. rawickim, założone w 1638 r.), Rojęczyn (wieś w pow. leszczyńskim, w gm. Rydzyna), Sowiny (wieś w pow. rawickim, w gm. Bojanowo), Żylice (wieś w pow. rawickim, w gm. Rawicz), Trzebosz (wieś w pow. rawickim, w gm. Bojanowo).

<sup>3</sup> Zapis nieścisły, gdyż wspomnienia obejmują okres od 1 września 1939 do 22 stycznia 1945 r.

czyli pamiętnej daty 1 września 1939 roku. Po 42 latach pamięć ludzka jest zawodna, a organizatorom „Wspomnień” zależy na „znajomości realiów i warunków życia ...” oraz „utrwaleniu własnych doświadczeń i przeżyć z okresu II wojny światowej”, jak również „doświadczeń lat okupacyjnych”... Ciężkie to będą zmagania umysłu, ażeby dojść do szczegółów owych lat, które na pewno mocniej, głębiej utrwaliły się w pamięci ludzkiej, lecz nie aż tyle, ażeby można obecnie odtworzyć wszystkie szczegóły owych czasów. Pamięć ludzka jest głęboka, lecz również dobrze wiemy, że zawodna. Jakże w wielu przypadkach szczegóły tamtych lat zostały pokryte otoczką zdarzeń, które dla młodych ludzi, którzy po prostu tych lat nie znają, urodzili się później, stają się trudnymi do zrozumienia, do pojęcia ich grozy, strachu, okropności...

My, którzy mieliśmy wtedy po owe 18 lat, byliśmy naszpikowani ideałami mocarstwowości, potęgi i niezwyciężalności. Pełne młodzieńcze gło-  
wy takich słów, jak „Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Taką rzeczą jest honor”. Słowa ministra spraw zagranicznych płk. Józefa Becka wygłoszone z trybuny Sejmu Rzeczypospolitej Polski dnia 5 maja 1939 roku. Słowa te i poprzednie były kanwą wszystkich późniejszych „słów” takich, jakie widniały na plakatach propagandowych: „Swego nie damy – napastnika zwyciężymy”, „Gwałt zadawany siłą musi być siłą odparty”, „W przypadku wojny, każdy mężczyzna bez względu na wiek i każda kobieta będą żołnierzami”.



Na plakacie głowa Wodza, nad którą sunęły eskadry bombowców, wyłaniały się lufy dział, czołgi, na dalekim planie plakatu kolumny piechurów i szwadrony kawalerii... tym byliśmy karmieni, byliśmy potężni, niewyciężeni w oparciu o sojusze i pakt z mocarstwami zachodnimi, lecz my, tu, na pograniczu ówczesnej Polski mieliśmy lepszą orientację o sile naszej i sile wroga...



10. Polski plakat propagandowy „Gwałt zadawany siłą musi być siłą odparty”, 1939 r.

Źródło: <http://histografy.pl/polskie-plakaty-wojenne>

Na co dzień byliśmy świadkami różnego rodzaju szmuglu bronią. Niemieckie towarzystwa sportowe to nic innego, jak kuźnie kadr V kolumny<sup>4</sup>, jak przy-

<sup>4</sup> Określenia „V kolumna” ponoć użył po raz pierwszy frankistowski generał Emilio Mola w 1936 r. W Polsce odnosi się ono do grup dywersantów rekrutowanych spośród mniejszości niemieckiej w Polsce już w okresie międzywojennym oraz podczas



gotowanie ludzi do przejęcia władzy administracyjnej, przygotowania dokładnych i pełnych spisów ludności polskiej pod wszelkimi względami, od wieku począwszy, poprzez ilość w rodzinie, zatrudnienia, wykształcenia, a najważniejsze, stosunku Polaka do Niemca. Stosunku Polski do Niemiec, a nawet wynotowane skrupulatnie z niemiecką dokładnością wypowiedzi niektórych Polaków. Po prostu nas, które jakże często miały miejsce pomiędzy nami, czyli Polakami i Niemcami i jakże często właśnie owe wypowiedzi, własne stanowisko, własne myśli wypowiedziane głośno, stały się przerażającym oskarżeniem jako wroga Rzeszy, Niemcożercy<sup>5</sup> itp. Tego w naszej mentalności nie było. Nie zawsze, lecz prawie zawsze, byli to Niemcy i Niemki, po prostu koleżanki od pierwszych klas szkół powszechnych poprzez całe koleżeńskie współzycie środowiska małego miasteczka, jakim było Bojanowo w powiecie rawickim. W pierwszych miesiącach okupacji wychodziło przysłowiowe szydło z worka. Z niektórych wyszło z miejsca, zaraz po wkroczeniu wojsk niemieckich do miasteczka, przybrało mundur HJ<sup>6</sup>, okazywało się w przepędzaniu nas, tyluletnich przecież kolegów nauki i zabaw i sportu... Tak, oni rozmawiali po polsku, bo uczyli się polskiego, jak również my rozumieliśmy po niemiecku, a wcale nierzadko

---

okupacji, a także do różnego rodzaju zagranicznych agentur wywiadowczych III Rzeszy.

<sup>5</sup> Niemcożerca – osoba mająca wrogi lub niechętny stosunek do wszystkiego co niemieckie (inaczej germanożerca, germanofob).

<sup>6</sup> HJ, skrót od Hitlerjugend – Młodzież Hitlera, niemiecka organizacja młodzieżowa dla chłopców w czasach III Rzeszy.

doskonale potrafiliśmy posługiwać się niemieckim. Dla nas był to naprawdę niezrozumiały przeskok mentalności tych Niemców o całe 360 stopni. Próbowaliśmy w niektórych przypadkach porozmawiać jeszcze, dojść do sedna tej sprawy, nic z tego nie wyszło, w najlepszym przypadku, ja osobiście dowiedziałem się „Słuchaj, Józef, nie dociekaj tych spraw, tego Ty, jako Polak nie zrozumiesz. Wy jesteście innym narodem, który się skończył, który od tej chwili będzie tylko Nam służył, bez prawa do życia, tego życia w ogólnym znaczeniu współistnienia społeczeństw, narodów, państw...”. Wypowiedziała to Elzi Wechner<sup>7</sup>, córka drobnego hurtownika materiałami opałowymi (drzewo, węgiel, koks, papa, lepik, dachówka, itp.) – ale w czasie wypowiadania tych słów, córka pierwszego burmistrza niemieckiego w Bojanowie rozpląkała się i uciekła. Była to rówieśniczka nie tylko wiekiem, lecz i w nauce, zabawach i swawoli.... Również rodzice, którzy lata młodości, a później pracy spędzili w dalekiej Westfalii, a od 1925 roku zamieszkiwali w Bojanowie, nie mogli zrozumieć, co stało się, raczej, co zaszło w miejscowych Niemcach. Doskonale pamiętam, że ojciec, jako robotnik Gazowni Miejskiej, z uwagi na proces ładowania akumulatorów do odbiorników radiowych, który dokonywał się w tejże gazowni, a które to akumulatory dowozili najczęściej właśnie Niemcy, był na koleżeńskim stopie z wieloma

---

<sup>7</sup> Elzi Wechner – właśc. Else Wähler. Jej ojciec Hugo Wähler (właściciel składu węgla) został pierwszym okupacyjnym burmistrzem Bojanowa. Zob. Stanisław Jędraś, *Miasto i Gmina Bojanowo*, Leszno 2005, s. 121.

mieszkańcami Bojanowa, jak również okolicznych wiosek, jak Trzebosz, Tarchalin, Golina Wielka, Gołaszyn<sup>8</sup>, w których przeważali gospodarze niemieccy pod względem wielkości i zasobności gospodarstw indywidualnych. Również matka, trudniąca się domowym krawiectwem, a które to tzw. „szycie” było lub musiało być raczej dobre i staranne, ponieważ chętnych pań do szycia było zawsze dużo, również posiadała doskonale rozeznanie wśród kobiet niemieckich, które jakże często gościły w naszym domu z towarem do szycia. Tak ojciec, jak i matka doskonale władali językiem niemieckim, dlatego w tym kierunku zbliżenia były normalnym przejawem. Rodzice również nie mogli zrozumieć miejscowych Niemców, którzy jak za dotknięciem przysłowiowej różdżki zmieniali się w zupełnie innych ludzi... W takiej atmosferze rozpoczęło się pięć lat okupacji – straconego, najpiękniejszego okresu młodości.

Okres młodości... miasteczko Bojanowo posiadało w swoich murach uczniów Państwowej Średniej Szkoły Rolniczej<sup>9</sup>, około 120 „szkolników” – tak nas nazywali mieszkańcy Bojanowa. Teraz należy sobie przypomnieć i zdać sprawę z takiego stanu, że w dwutysięcznym miasteczku bez przerwy działał

---

<sup>8</sup> Tarchalin (wieś w pow. rawickim, w gm. Bojanowo), Golina Wielka (wieś w pow. rawickim, w gm. Bojanowo), Gołaszyn (wieś w pow. rawickim, w gm. Bojanowo).

<sup>9</sup> Szkoła rolnicza w Bojanowie została założona jeszcze w czasach zaborów, w 1907 r. Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę, od 1922 r. działała jako Państwowa Średnia Szkoła Rolnicza. Zob. *40-lecie Szkoły Rolniczej w Bojanowie 1922–1962*, oprac. Łucjan Kryszkiewicz [i in.], Bojanowo 1962; *65 lat szkoły rolniczej w Bojanowie*, oprac. tekstu Łucjan Kryszkiewicz, Poznań 1987; *75-lecie Szkół Rolniczych w Bojanowie*, oprac. Zofia Kocur, Leszno 1997.



11. Budynek Państwowej Średniej Szkoły Rolniczej w Bojanowie  
Źródło: Marek Kosmański, *Z dziejów Średniej Szkoły Rolniczej w Bojanowie 1922–2002*, Bojanowo 2005, s. 11

zespół młodych zapaleńców, zgromadzonych z terenu całego kraju, dosłownie z całego kraju, ponieważ w auli szkoły na ścianie bocznej umieszczona była dużych rozmiarów mapa Polski z lat międzywojennych i wszystkie miejscowości, skąd przybywali do Bojanowa „owi słuchacze agronomii”, były



12. Lekcja pogładowa w polu – Gołszyn, 1939 r.

Źródło: *40-lecie Szkoły Rolniczej w Bojanowie 1922–1962*, oprac. Łucjan Kryszkiewicz [i in.], Kościan 1962, s. 13

oznaczone małymi proporczykami na specjalnych metalowych szpikulcach. Dosłownie cała Polska była reprezentowana w Bojanowie, od sinych i modrych fal Bałtyku do Tatr. Od pogranicznego miasteczka Bojanowa do Wilna, Baranowicz, Łucka i Lwowa... jakże to przeróżny był skład owych przyszłów, którzy przez trzy lata zdobywali edukację w Państwowej Średniej Szkole Rolniczej. Należy również wyjaśnić, że patriotyzm i prawdziwe umiłowanie ojczyzny było wśród tej braci szkolnej najwyższego gatunku. Nie było cienia wątpliwości, że gdy ojczyzna będzie w potrzebie, nie zabraknie nikogo z murów bojanowskiej szkoły – tak uczniów, jak i profesorów, którzy byli z prawdziwego zdarzenia, a nie tylko nauczycielami botaniki, zoologii, chemii, fizyki itd. Każdy z nich ukończył akademie i uniwersytety, nie tylko w kraju, lecz również za granicą, jak

profesor Zbigniew Morkowski<sup>10</sup> (Drezno i Lipsk), jak dr Jan Sondel<sup>11</sup>, profesor Florian Bogusławski<sup>12</sup>, mgr Jan Nowicki, mjr dypl. Alfred Szuller<sup>13</sup> oraz wielu innych. Był wśród nich także lubiany od początku przybycia do Bojanowa mgr inż. Lucjan Kryskiewicz<sup>14</sup>, nie tylko wykładowca, lecz również wspaiały

---

<sup>10</sup> Zbigniew Morkowski (6 marca 1887 – 11 listopada 1979) – nauczyciel, a w latach 1933–1935 dyrektor Państwowej Średniej Szkoły Rolniczej w Bojanowie. W wymienionych powyżej publikacjach dotyczących historii szkoły rolniczej w Bojanowie podaje się informację, że w okresie okupacji niemieckiej Zbigniew Morkowski przebywał przez 5 lat w obozie koncentracyjnym, stracił żonę i jedynego syna Krzysztofa. Ponadto na stronie internetowej [http://www.drugiobieg.info/php/3\\_p\\_podziemna.php?ID3=358&username=&s=8&li=1&sort=K OPS](http://www.drugiobieg.info/php/3_p_podziemna.php?ID3=358&username=&s=8&li=1&sort=K OPS) (dostęp: 2.11.2020) jest jego krótki biogram (nr 398): Morkowski Zbigniew (6 III 1887 – 11 XI 1979 Chicago), ppor. rez. kaw., żołnierz polski w I wojnie światowej, prof. Szkoły Rolniczej w Bojanowie w okresie międzywojennym, żołnierz NSZ w czasie II wojny.

<sup>11</sup> Prof. Jan Sondel (11 stycznia 1895 – 9 lutego 1975) – w 1938 r. został dyrektorem Państwowej Średniej Szkoły Rolniczej oraz Gimnazjum Rolniczego w Bojanowie. Stanowisko to zajmował również po wyzwoleniu, w latach 1945–1950. Później związał swoją karierę naukową z Wrocławiem. Po mianowaniu w 1958 r. profesorem nadzwyczajnym, założył Zakład Ekonomiki Rolnictwa w Katedrze Ekonomiki i Organizacji Rolnictwa Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu, którym kierował do 1964 r. W latach 1960–1962 kierował też nowo utworzoną Katedrą Ekonomiki Rolnictwa w Wyższej Szkole Ekonomicznej we Wrocławiu.

<sup>12</sup> Doc. dr inż. Florian Bogusławski (1908–1978) – w latach 1937–1939 był nauczycielem ekonomiki i organizacji gospodarstw w szkole rolniczej w Bojanowie, po wojnie w 1946 r. doktoryzował się na Uniwersytecie Poznańskim. W końcowej fazie swej kariery naukowej pełnił funkcję dziekana Wydziału Mechanizacji Rolnictwa na Politechnice Poznańskiej.

<sup>13</sup> Alfred Artur Jan Schuller ur. się 23 kwietnia 1894 r. we Lwowie, zamieszkał w Bojanowie i był nauczycielem miejscowej szkoły rolniczej od 1930 r., poległ w trakcie kampanii wrześniowej 1939 r. w obronie Warszawy.

<sup>14</sup> Właśc. Łucjan Kryszkiewicz, ur. się 7 stycznia 1914 r. w Nakle, od 1938 r. był nauczycielem w Bojanowie, zmarł w 1998 r., spoczywa na cmentarzu bojanowskim.



13. Zbigniew Morkowski, dyrektor Państwowej Średniej Szkoły Rolniczej w Bojanowie w latach 1934–1935 i 1937–1938.

Źródło: *40-lecie Szkoły Rolniczej w Bojanowie 1922–1962*, oprac. Łucjan Kryszkiewicz [i in.], Kościan 1962, s. 11

człowiek i kolega w kopaniu piłki i zawodach lekkoatletycznych. Szczęście w nieszczęściu, że w pierwszych dniach września my, uczniowie bojanowskiej szkoły byliśmy jeszcze na praktykach, a szkoła stała pusta. Jak zareagowałyby grupa 120-osobowa, zapaleńców przecież, na wkroczenie wojska niemieckiego lub na wiadomość o śmierci majstra stolarskiego Macieja Fijałkowskiego w pierwszym dniu września?<sup>15</sup>

<sup>15</sup> Właśc. Fiałkowski. Autor wspomnień pomylił się, gdyż Maciej Fiałkowski (ur. 24 lutego 1879 r. w Krzywiniu), mistrz stolarski w Bojanowie, nie zginął 1 września 1939 r. i nie był pierwszą ofiarą wojny spośród mieszkańców miasta. Oskarżony o współudział w zamordowaniu Niemca Richarda Müllera z Karolewa i jego syna, został aresztowany i osadzony w więzieniu w Rawiczu. Zmarł tam 1 kwietnia 1940 r. Natomiast 1 września 1939 r. został zamordowany inny mieszkaniec Bojanowa – mistrz stolarski Ignacy Łuczkiwicz, ur. w Lubiniu 31 stycznia 1890 r. Był on członkiem straży obywatelskiej w Bojanowie. Z innymi członkami patrolu udał się do majątku Karolewo, gdzie Richard Müller nie pozwolił zabrać swojego bydła, które zgodnie z zarządzeniem miano popędzić w głąb kraju. Gdy jadący na czele patrolu

A co by czekało tych wszystkich wspaniałych chłopaków od Niemców, a mówiąc prawdę to powody do zemsty na pewno by się znalazły, bo i robiliśmy porządki w sklepach niemieckich z proszkiem do prania „Persil” i „Heňko” za jakieś tam antypolskie wystąpienia ze strony owych dwóch firm niemieckich, dotkliwe pobicie fanatyka i nazisty – właściciela Karolewa koło Bojanowa<sup>16</sup>, jak blokowanie kina przed wyświetlaniem filmów niemieckich, w obronie kina niemieckiego umieszczonego w restauracji Niemca Klainerta<sup>17</sup>, obecne kino w Bojanowie w tym samym miejscu, występowała wtedy policja granatowa<sup>18</sup> z jej gorliwym dla Niemców

---

Łuczkiwicz był już w bramie wjazdowej, to zawrócił w kierunku jadących za nim i w tym momencie został trafiony w plecy. W wystawionym w 1945 r. akcie zgonu napisano, że poległ w Karolewie na drodze, o godzinie 7.00. Zob. S. Jędraś, *Miasto i Gmina Bojanowo*, dz. cyt., s. 119.

<sup>16</sup> Karolewo to mała osada podlegająca sołectwu w Gołaszynie, położona przy drodze z Gołaszyna do Jabłonnej. Powstała ona w 1847 r. na gruntach Gołaszyna i nazywano ją Carlshof. Majątek w przeszłości należał do różnych właścicieli, m.in. do przedstawicieli niemieckiej rodziny arystokratycznej z Dolnego Śląska – Hatzfeldów. W latach 30. XX w. gospodarował tu Richard Müller. Zob. <https://www.gminabojanowo.pl> (dostęp: 21.01. 2021).

<sup>17</sup> Chodzi o Teodora Kleinerta (restauratora, zmarł w 1935 r.), który figuruje w rejestrze mieszkańców Bojanowa z okresu międzywojennego. Mieszkał z synem Aleksandrem w budynku przy Rynku nr 10. Zob. APL, zespół nr 34/13/0, Akta miasta Bojanowo, sygn. 106, s. 39–40.

<sup>18</sup> Granatowa policja – określenie odnoszące się do polskiej formacji policyjnej w Generalnym Gubernatorstwie z lat okupacji niemieckiej. Nazwa pochodzi od koloru munduru (Policja Państwowa w dwudziestolecie międzywojennym nosiła mundury takiego samego koloru). Polacy podchodzili do policjantów „granatowych” z dużą dozą niechęci i ostrożności, obwiniając ich często o wysługiwanie się niemieckiej władzy okupacyjnej. Przed wojną słowa „granatowi” używał tylko półświatek przestępczy.



Nr. 52.

C

Rawicz, den 2 April 1940.  
Des Tischlermeisters Maciej Fiałkowski  
katholisch, —,  
wohnhaft in Schmiedekreis Rawicz, —,  
ist am 1. April 1940 — um 10 Uhr — Minuten  
in Rawicz, Wilhelmstrasse 28. — verstorben.

Der Verstorbene war geboren am 24. 2. — 1879 —  
in Krienen Kreis Kottbus. —  
(Standesamt Krienen Kreis Kottbus Nr. 39/1879.)

Vater: Tischlermeister Franz Fiałkowski, zuletzt  
wohnhaft in Krienen. —

Mutter: Marianna Fiałkowska geborene Wedzewicz,  
zuletzt wohnhaft in Krienen. —

Der Verstorbene war — nicht — verheiratet mit Antonie Fiał-  
kowska geborene Roszak, —, in Schmiedekreis.

Eingetragen auf mündliche — schriftliche — Anzeige des Verwaltungs-  
schalters Joseph Ehm, in Rawicz.

Der Anzeigende ist aus eigener Wissenschaft vom  
dem Todesfalle unterrichtet, und ist bekannt. —

Vorgelesen, genehmigt und — unterschrieben

Joseph Ehm —

Der Standesbeamte

In Verbindung, W. W. —

Todesursache: Herzschlag. —

Eheschließung des Verstorbenen am 22. 10. 1907 in Wyskoben —

(Standesamt Wyskoben Kreis Kottbus Nr. 18/1907.)

14. Akt zgonu Macieja Fiałkowskiego zmarłego w więzieniu w Rawiczu w dniu 1 kwietnia 1940 r., wystawiony przez Urząd Stanu Cywilnego w Rawiczu 2 kwietnia 1940 r.

Dokument z księgi zgonów z 1940 r., udostępniony przez Urząd Stanu Cywilnego w Rawiczu.

C.

Nr. 67

Bojanowo dnia 13 listopada 1945

Przedemną urzędnikiem stanu cywilnego w Bojanowie

stawił<sup>2</sup> się dziś osobiście mi znan<sup>2</sup>

wdowa Stanisława Łuczkiwicz

z domu Rasporch które tożsamość

stwierdziłam na podstawie okazan<sup>2</sup> mi

zamieszkał<sup>2</sup> w Bojanowie ulica Ogrodowa Nr. 35

i zeznał<sup>2</sup>, że jego syn Ignacy Łuczkiwicz

miasta Stoberski zginął wskutek działań

wojennych

w wieku lat czterdziestu osiem

zamieszkał<sup>2</sup> w Bojanowie przy Dąbku

urodzon<sup>2</sup> w Łublinie powiat Kozian

dnia 31 stycznia 1890

wyznania Wyznosko-Katolickiego

syna Władysława Ignacego Łuczkiwicza zmarłego

z ostrej choroby zakaźnej w Łublinie powiat Kozian

i jego małżonki Teodori z domu Kozian

zmarłej z ostrej choroby zakaźnej w Łublinie powiat Kozian

poległ<sup>2</sup> zmarł<sup>2</sup> w Łublinie powiat Kozian na chorobę

dnia pierwszego września

roku tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiętego

o godzinie siódmej

z przyczyn<sup>2</sup> zginął<sup>2</sup> dokonano na podstawie

zgonu Karola Łuczkiwicza z dnia 28 września

1939 r. dz. III-35-11/45. Zgonu onego wsi<sup>2</sup> dokonano w Łublinie

Odczytano, przyjęto i podpisano

Stanisława Łuczkiwicza z domu

Rasporch

Urzędnik stanu cywilnego

z podpisem

15. Akt zgonu Ignacego Łuczkiwicza poległego 1 września 1939 r. w Karolewie, wystawiony przez Urząd Stanu Cywilnego w Bojanowie 13 listopada 1945 r.

Dokument z księgi zgonów z 1945 r., udostępniony przez Urząd Stanu Cywilnego w Bojanowie.

komendantem Janasikiem<sup>19</sup>. Zebrałby się ładny pakiet owych spraw i sprawek, gdyby to wszystko posegregować i dlatego właśnie rozprawa Niemców z nami nie mogła się odbyć, ponieważ praktyki nasze trwały do 10 września, a od połowy miesiąca rozpoczynaliśmy nowy rok szkolny. Jaka moja rola w tym wszystkim – byłem przecież mieszkańcem Bojanowa i znałem wszystkich Niemców, jak przyśłowiowy palec – właśnie moja rola była „nijaka”, tylko mieszkanko nasze przy ulicy Kościuszki 15 było miejscem „opracowania” wszystkich przedsięwzięć i poczynañ. Ja niestety musiałem pozostać w cieniu, nie mogłem dokonywać owych „zabiegów” temperujących Niemców. Takie były układy, a poszukiwania po wkroczeniu Niemców były, oj były i nie tylko poszukiwania, lecz i cielesne spotkania z przedstawicielami Narodu Panów.

Jedno było najgorsze, chyba to było drugie spotkanie na magistracie... „Gdzie jest sztandar szkolny” – naprawdę nie wiedziałem. Podobno mieli sztandar zabrać poza Bojanowo, lecz kto? Nawet ja nie wiedziałem i kolbą pistoletu w gębę, wypłułem cztery zęby górnej szczęki i dwa dolne. Z rozciętej wargi masa krwi i wynocha do domu<sup>20</sup>. Na tym incydencie dali mi spokój, poszukiwali profesorów.

---

<sup>19</sup> Wawrzyniec Janasik ur. się 27 lipca 1895 r. w Komornikach pod Poznaniem. W Bojanowie mieszkał od maja 1933 r., był komendantem posterunku Policji Państwowej.

<sup>20</sup> Sztandar szkoły został zabezpieczony przez miejscowego ogrodnika Józefa Janowicza, który ukrył go w obrazie Matki Boskiej Częstochowskiej. Sztandar szczęśliwie przetrwał całą okupację i został zwrócony szkole w 1945 r. Zob. Marek Kosmański, *Z dziejów Średniej Szkoły Rolniczej w Bojanowie 1922–2002*, Bojanowo 2005, s. 38.

Tak zginął w Dachau profesor Morkowski<sup>21</sup>. Żona zamordowana w Inowrocławiu, a syn (mój rocznik) został rozstrzelany w jakiejś łapance. A ilu kolegów przypłaciło życiem lub obozami?

A jak było na granicy? W pierwszych dniach lub tygodniach nowego roku szkolnego koledzy przybywali do Bojanowa z głębi kraju<sup>22</sup>. Bez przerwy nagabywali nas, „miejscowych”, gdzie jest ta granica? Jak wygląda, gdzie są Niemcy? Pytania dotarły do dyrektora, profesora Morkowskiego. Zawezwany przez niego otrzymałem zadanie. Uczeń Stasiak zabierze chętnych „na granicę” w okolicach Trzebosza lub Szemzdrawa<sup>23</sup> pokazać to miejsce, a potem wrócą wszyscy razem. Profesor Morkowski jako zapalony myśliwy (nie jak obecnie spotyka się bardzo często myśliwy – legalny kłusownik) znał tereny wokół Bojanowa jak własny palec. Było nas około trzydziestu. Idziemy przez Trzebosz (4 kilometry od Bojanowa) nie udałem się na przystanek celny, tylko obok kościółka ewangelickiego (dziś katolicki) w kierunku Zaborowic<sup>24</sup>, które były już Trzecią Rzeszą. W połowie drogi przystanąłem, siadłem na rowie i... „Dobrze patrzcie, jesteśmy w Trzeciej Rzeszy, minęliśmy granicę”. Dwóch kolegów z miejsca dało drapakę na powrót. Musiałem ich przywołać. Pozostali, zgorszeni, że taki kawał drogi przebyli, a ja urządzam drwinę. Moje wyjaśnienia były krótkie „Minęliśmy Trzebosz – to Polska, przed nami

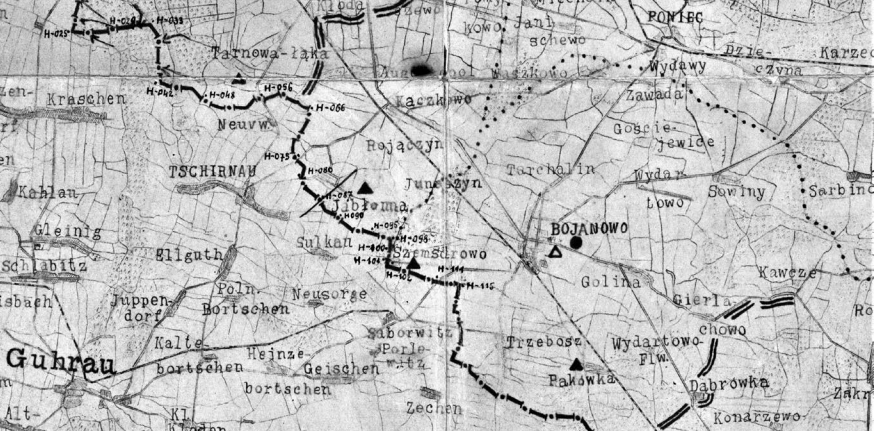
---

<sup>21</sup> Autor wspomnień pomylił się, gdyż Zbigniew Morkowski nie zginął w obozie koncentracyjnym w Dachau. Szerzej zob. przyp. 10.

<sup>22</sup> Ten fragment wspomnień dotyczy okresu przedwojennego.

<sup>23</sup> Szemzdrawo – wieś w pow. rawickim, w gm. Bojanowo.

<sup>24</sup> Zaborowice – wieś w pow. rawickim, w gm. Bojanowo.



16. Fragment mapy z zaznaczonymi placówkami Straży Granicznej na terenie gminy Bojanowo, lata 30. XX w.

APL, zespół nr 34/9/0, Wydział Powiatowy w Lesznie, sygn. 397

Zaborowice – to Niemcy”. A gdzie granica? Nie ma żadnych słupów, murów, drutów, gdzieś tam na mapach figuruje, lecz w terenie? Zawiedzeni, smutni wracaliśmy do domu. Na osłodę lub jeszcze większe rozczarowanie: przed samym Trzeboszem zatrzymał nas patrol graniczny, trzech ze straży granicznej (na wschodniej granicy był KOP<sup>25</sup>) oraz dwóch Niemców strażników. Polacy mówili dobrze po niemiecku, a Niemcy mówili dobrze po polsku. Kolegom zupełnie miny zrzedły. Na pytanie „skąd idziemy” wyjaśniłem, że na polecenie dyrektora szkoły oprowadzam kolegów „po granicy”. Szkopy<sup>26</sup> zaśmiewali się do rozpuku, nasi strażnicy również. Poczęstowali nas niemieckimi papierosami (słabe były w porównaniu do naszych „Machorkowych”, odpowiednik dzisiaj-

<sup>25</sup> Granicy z Niemcami strzegła od 1928 r. Straż Graniczna (wcześniej Straż Celna), natomiast granicy wschodniej – Korpus Ochrony Pogranicza (KOP). W Bojanowie funkcjonował Komisariat Straży Celnej (od 1928 r. Straży Granicznej).

<sup>26</sup> Szkop – pogardliwe określenie Niemca, używane szczególnie w okresie okupacji w latach 1939–1945.

szych „Popularnych”). Niemcy rozpytywali się, skąd koledzy, że dla nas miejscowych to granica równała się przysłowiowej pestce. Natomiast dla ludzi z centrum kraju zawsze była „granica”. Po mojej relacji złożonej profesorowi, tenże miał również rozbawioną minę. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że w niedługim czasie będzie to granica piekła i ciężkich bolesnych lat okupacji.

Pierwszą moją praktykę w czasie ferii letnich odbyłem w majątku Rojęczyn, który wchodził w skład klucza Rojęczyn – Jabłonna – Waszkowo<sup>27</sup>, wszystkie w pobliżu Bojanowa. Właścicielem był Niemiec, mjr von Jöhszke (lub coś podobnego)<sup>28</sup>. W majątku funkcję rządcy pełnił również Niemiec, znów jakiś „von”, sztuka zdolna, młoda, z tytułem doktora rolnictwa. Pełen pomysłów w odniesieniu do nowości tak w płodozmianie, jak również w hodowli. Już tam na praktyce w rozmowie z miejscowymi pracownikami dochodziły do mnie wiadomości o dziwnych „praktykach” młodego doktora. Młodzi pracownicy, wszędobylscy w majątku, oraz młoda pokojówka Polka, sympatyczna i ładna Zosia M., zwracała mi uwagę na dziwne „przyjazdy i wyjazdy” owego doktora. Wyjazdy wieczorami, powroty w głębokiej nocy (posiadał sportowego

---

<sup>27</sup> Waszkowo – wieś w pow. gostyńskim, w gm. Poniec.

<sup>28</sup> W okresie międzywojennym oraz wojennym właścicielem Jabłonnej i Waszkowa był niemiecki arystokrata Joachim von Lösch, nielojalny wobec państwa polskiego. Zatrudnianych w majątku polskich robotników rolnych (było ich ok. 40%) szykanowano i wykorzystywano, a także zwalniano z pracy i zatrudniano Niemców. Występuje w księdze narodowościowej dla powiatu leszczyńskiego z połowy lat 30. XX w. Zob. APL, zespół nr 34/3/0, Starostwo Powiatowe w Lesznie, sygn. 107, s. 33–34.



17. Pałac w Rojęczynie, 1915 r.

Źródło: <http://www.polskiezabytki.pl/m/obiekt/6376/Rojeczyn/>

adlera<sup>29</sup>), wjazdy na teren majątku i garażu na zgaszonych światłach, wynoszenie pakunków i tobołków. Owa pokojówka Z.M. dała namówić się na „podchody” i „podśluchy” i nasze wspólne wysiłki dały rezultat. Pan doktor wywoził lub raczej przywoził broń z pobliskiej Rzeszy.

Drugi w kluczu majątek, Jabłonna, leży tuż nad granicą Rzeszy. Owe „toboły” umieszczał w swoim pokoju lub sypialni. Pomieszczenia te były zamknięte, bez dostępu nawet dla pokojówki. Jednak ona posiadała jakiś tam kluczyk – okazało się, że w tobołkach była broń, karabiny, granaty, pistolety, amunicja. Lecz cóż z tego? Komu mieliśmy o tym donieść? Na granicy ze strony polskiej, gdy ukazał się adler pana doktora, to polscy strażnicy stawali na bacz-

<sup>29</sup> Adler – marka samochodów produkowanych przez firmę Adlerwerke we Frankfurcie nad Menem.





18. Pałac w Jabłonnej – kartusz herbowy rodziny von Lösch (Loesch), fot. Zdzisław Wasiołka, 2016 r.

Źródło: <http://www.polskiezabytki.pl/m/obiekt/6375/Jablonna/>

ność, strzelali kopytami i walili w dach. Lecz gdy granicę przekraczał zwykły śmiertelnik, obmacywany był dokładnie. Dla kobiet zaangażowana była strażniczka. To były stosunekczki. Oj, mieli, mieli Niemiaszki krzywdę w naszym kraju.

Praktyka skończyła się, dzienniczek zajęć został podpisany przez pana doktora i opatrzony dopiskiem, że „praktykant Stasiak wykazał w praktyce duże wiadomości teoretyczne nabyte w szkole”.



Dopisek, nad którym profesor Bogusławski (opiekun od praktyk) długo kiwał głową i w końcu powiedział: „Pan doktor nikomu dotychczas takiego poświadczenia nie napisał, miej się chłopie na baczności, mamy wiadomości, że to prawdziwy hitlerowiec i nazista”. Kilka tygodni po praktyce odwiedziłem sympatyczną pokojówkę i co się dowiedziałem, że pan doktor w jakiejś rozmowie z nią powiedział, że ów ostatni praktykant zbyt interesował się jego osobą. Nogi się pode mną ugięły. Gdyby taka opinia doszła do „ich” właściwych komórek, wątpię, czy długo po 1 września chodziłbym po tej ziemi. Widocznie w miarę zbliżania się „września” pan doktor miał znacznie ważniejsze sprawy na głowie, niż interesować się jakimś praktykancikiem

W styczniu 1939 roku powstała zakonspirowana nawet przed dyrekcją szkoły „komórka wywiadu”. Tak się nazwaliśmy, było nas sześciu. Przewodnictwo objął kolega Janusz Pomian-Wichrowski<sup>30</sup>. Szaleńcze, głupie, młode głowy, lecz „odkrycia” mieliśmy. Podobnych spraw, których dokonywał pan doktor, imali się i inni na terenie Bojanowa. Właściciel dużego ogrodnictwa (przy drodze z Golicy do Bojanowa) Alfred Poinhke<sup>31</sup> (dziś dwa ogrodnictwa

---

<sup>30</sup> W dostępnych publikacjach nie ma bliższych danych o Januszu Wichrowskim. Jedynie M. Kosmański (*Z dziejów Średniej Szkoły Rolniczej*, dz. cyt., s. 32) wymienił go jako członka redakcji szkolnej gazety „Siejba”. Wśród wymienianych w publikacjach absolwentów szkoły nie ma Wichrowskiego. Być może nie zdążył jeszcze ukończyć szkoły przed wybuchem wojny w 1939 r., podobnie jak autor wspomnień.

<sup>31</sup> Nie udało się odnaleźć bliższych informacji o tym właścicielu ogrodnictwa.

Matuszaka i Staszka<sup>32</sup>), gromadził broń za rurami centralnego ogrzewania. Właściciel małej fabryczki lub warsztatu naprawczego maszyn rolniczych (przed zakładem karnym w Bojanowie) Blothner<sup>33</sup> – gromadził broń w starych kotłach po lokomobilach. Komu jednak mieliśmy te wiadomości przekazać? Na rok przed „wrześniem” przybyło na bojanowski posterunek policji granatowej dwóch młodych aspirantów policji, którzy chodzili najczęściej po cywilnemu. Jednemu z nich powiedzieliśmy o naszych odkryciach. Otrzymaliśmy odpowiedź, że mamy odstąpić od tych spraw, zapomnieć i to będzie dla nas najlepsze. Ty – powiedział do mnie – jesteś mieszkańcem Bojanowa i masz na miejscu rodzinę, odstęp bez wahania, póki jeszcze czas i póki Niemcy nie wpadną na wasz trop. Mieliśmy się wkrótce przekonać, że miał ów „cywil” rację. Tak wyglądało życie w pewnych jego wycinkach na rubieżach zachodniej Polski. Byliśmy zwarci, silni i gotowi, nie oddalibyśmy ani guzika. Były to tylko slogany, hasła bez pokrycia. My jednak wierzyliśmy, że Polska jest silna w oparciu o sojusze zachodnich potęg, gdyż miało się tylko osiemnaście lat. Tak nam mówiono, uczono, kłamano. Gdzie była prawda? Była – wrzesień 1939 rok!!!

Pełen rok nauki i dużo sportu. Trafiłem do niego bardzo łatwo, bo naszym wychowawcą od wychowa-

---

<sup>32</sup> Obecnie w Bojanowie działa Gospodarstwo Rolno-Ogrodnicze Wojciecha Matuszaka (ul. Norwida 9) oraz Ogrodnictwo Jacka Staszko (ul. Norwida 3a).

<sup>33</sup> Prawdopodobnie chodzi o Maksa Blothnera (ur. 16 listopada 1890 r. w Bojanowie) – mistrza ślusarskiego, który figuruje w rejestrach mieszkańców Bojanowa. Zob. APL, zespół nr 34/13/0, Akta miasta Bojanowo, sygn. 108, s. 32–33.

nia fizycznego był dojeżdżający z Rawicza do naszej szkoły profesor Kazimierz Cepurski<sup>34</sup>. Ten potrafił z nas robić „chłopców do wszystkiego”. Jego wychowawcze hobby to gimnastyka. Kiedy to wpoił w nasze kości (a przecież były młode), to inne dyscypliny sportu, jak w moim przypadku: piłka nożna, koszykówka oraz skok w dal, były łatwizną i nie sprawiały żadnego problemu.

W powietrzu coraz częściej pojawiały się dziwne oznaki, dziwne wieści. My, miejscowi, odczuwaliśmy to doskonale, choć na zewnątrz wszystko było po staremu. Przed wojną do szkoły powszechnej chodzili z nami Niemcy i Żydzi (w Bojanowie przed wojną było około 42% Niemców i 16 rodzin żydowskich). Po siedmiu latach szkolnej ławy nawiązywały się jakieś tam koleżeństwa, sympatie. Nie było wśród

---

<sup>34</sup> Kazimierz Cepurski ur. się 17 grudnia 1900 r. w Brodach (okręg Tarnopol). Jako ochotnik brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. W 1922 r. ukończył w rodzinnej miejscowości Państwowe Gimnazjum im. Józefa Korzeniowskiego i rozpoczął pracę w Orzegowie na Śląsku. W latach 1925–1926 pracował w Państwowym Seminarium Męskim w Kcyni. W 1926 roku przyjechał do Rawicza, gdzie objął posadę nauczyciela wychowania fizycznego i przysposobienia wojskowego w Państwowym Gimnazjum, później przekształconym w Gimnazjum i Liceum. W październiku 1931 r. założył Szkolny Klub Sportowy, jeden z pierwszych w Polsce, o nazwie „Sagitta”. Uczyl także w szkole rolniczej w Bojanowie. W kampanii wrześniowej 1939 r. walczył jako dowódca plutonu zwiadu Batalionu Obrony Narodowej. W czasie obrony Warszawy został ranny i 29 września wzięty do niewoli niemieckiej. Do czerwca 1946 r. przebywał w Oflagu VII A Murnau am Staffelsee (Bawaria). Po powrocie do Rawicza znów pracował w Gimnazjum i Liceum, później w Liceum Ogólnokształcącym. Na emeryturę przeszedł w 1976 r. Zmarł 16 września 1986 r. Jedną z rawickich ulic nazwano jego imieniem. Zob. <http://przycielerawicza.pl/pami%C4%99tnik-internetowy/rawiczanie/kazimierz-czyszewski.html?view=article&id=143:kazimierz-cepurski&catid=94> (dostęp: 12.11.2020).

nas rozgraniczeń rasowych, religijnych lub narodowych. W moim domu rodzice mieli dużo wspomnień i przyjaźni z Westfalii. W rodzinie, w której prawie wszyscy moi wujowie i ciocie pozostawali właśnie tam, dochodziły również przeróżne wieści z terenu Rzeszy. Pamiętam przyjazd cioci Maryni z Essen<sup>35</sup>, gdzieś w połowie kwietnia 1939 roku. Przewidziany pobyt u nas na dwa tygodnie skróciła do pięciu dni. Dwie lub trzy noce spędziła zamknięta z ojcem w kuchni. Po jej wyjeździe ojciec długo robił porządki w swoich papierach. Nawet część z nich spalił. Na moje nagabywania, co to wszystko znaczy, dlaczego ciocia Marynia tak skróciła swój pobyt, otrzymałem odpowiedź i przykazanie, bym skończył koleżeństwo z niemieckimi dziećmi. Miałem też skończyć również z Elzi – przyjaźniłem się z nią bodajże od drugiej klasy. Później ta przyjaźń uczniowska przeradzała się w sympatię, a może w coś więcej. Bywała u nas w domu, ja bywałem u nich, rodzice znali się wzajemnie. Niedługo jednak miałem się dowiedzieć, że ze strony Elzi było to więcej jak sympatia.

Czy nie wyczuwasz jakiegoś wzburzenia wśród Niemców? Później znowu jakby chowanie głowy w piasek, jakiegoś przyzwyczajenia, ugrzecznienia. Dobrze patrz i słuchaj, co dzieje się wokół. Potwierdziły się słowa ojca. Jak się później dowiedziałem, nie tylko przypuszczenia.

I tak nadszedł ów pierwszy wrzesień. Praktykę odbywałem w gospodarstwie pana Adama Lep-

---

<sup>35</sup> Essen – miasto na prawach powiatu w zachodniej części Niemiec, w kraju związkowym Nadrenia Północna-Westfalia, w reencji Düsseldorf.

czyńskiego<sup>36</sup>, około 55 hektarów w Gołaszynie koło Bojanowa (dziś baza SKR-u<sup>37</sup>) do 10 września. W piątek udałem się, jak w każdy dzień, o godzinie piątej na to gospodarstwo. W oborze wśród dojarzy oświadczył pan Adam. Rzadko to się zdarzało, nawet już kompletnie ubrany. Około godziny szóstej zwołał nas wszystkich przed wejściem do obory. Był taki placyk wycementowany do stawiania konwi z mlekiem. Objął, że Niemcy uderzyły na Polskę. Jest wojna. My tu na granicy pierwsi możemy odczuć jej skutki. Każdy niech uda się do swojej pracy, w pole nie wyjeżdżać, pozostać na miejscu. Mnie zabrał do domu, wręczył poprzednio już wystawione świadectwo o ukończeniu praktyki i „Żegnaj, młody człowieku. Nie wiadomo, gdzie i kiedy się spotkamy. Pozdrów rodziców i praktyka skończona”. Na moje słowa, że jesteśmy zwarci i silni, wzruszył ramionami i powiedział „Obyś, chłopcze, miał rację, lecz ja w to nie wierzę”. Pan Adam liczył wtedy ponad pięćdziesiątkę. Udałem się do domu. W parę chwil później nadbiegł z pracy ojciec (po nocce) i „Koniec z pracą, siedzieć w domu, nigdzie nie wychodzić, nikomu się nie po-

---

<sup>36</sup> Adam Lepczyński (24 grudnia 1888 – 28 czerwca 1940) był synem Antoniego i Józefy z domu Woźniak. Ukończył gimnazjum im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, następnie szkołę rolniczą. W czasie I wojny światowej walczył na froncie zachodnim, m.in. pod Verdun. Do Pawłowic przeprowadził się 1 października 1919 z Kąkolewa. Pracował tu jako urzędnik gospodarczy (rządca) gospodarstwa Mały Dwór, od lipca 1920 gospodarstwa Pawłowice. 1 lipca 1932 wyprowadził się do Gołaszyna pod Bojanowem, gdzie od Niemca (Ślązaka) wypożyczył 100-hektarowy majątek ziemski. Zmarł 28 czerwca 1940 r. w Gołaszynie, pochowany został na cmentarzu w Bojanowie. Zob. <https://www.facebook.com/pawlowicedawniejdzis/posts/1644477122462100> (dostęp: 12.01.2021).

<sup>37</sup> SKR – Spółdzielnia Kółek Rolniczych.

kazywać, musimy odczekać, co będzie”. Około godziny jedenastej (piątek, 1 września) jakiś ruch na ulicy, krzyki, naturalnie z ojcem wychodzimy, a tu sąsiedzi informują, że patrol Obrony Narodowej, samorzutnie stworzony z miejscowych, udał się w kierunku Karolewa (mały folwarczek niemiecki, położony o 3 kilometry od Bojanowa), skąd słychać było strzały z broni maszynowej. Gdy podeszli bliżej, otrzymali ostrzał z broni maszynowej. Padł na miejscu Maciej Fijałkowski<sup>38</sup> – stolarz miejscowy. Nieśli go już martwego, gdy jeszcze nie padło słowo i krzyki, że zabili Fijałkowskiego, że ktoś tam zabity. W oknach niemieckich pełno było głów, lecz gdy usłyszeli o zabiciu Fijałkowskiego (znali go wszyscy w Bojanowie), wszystkie niemieckie głowy poznikały z okien i już żadnego Szwaba na ulicach nie spotkało się. Jak spod ziemi znaleźli się koledzy, Stefan Witkowski (kolega poruszający się o lasce, lecz wszędzie było go pełno), Klemens Bajoński, Eda Maćkowiak i Eda Maślanka i zaczęli penetrować ulice. Nasza, zawsze taka pewna i śmiała „granatowa” pakowała się i wyjeżdżała wozami w kierunku Ponieca. Zaraz za nimi to samo czyniła Straż Graniczna. Nas, młodych było już więcej na ulicach, ale dlaczego oni opuszczają miasto i swoje stanowiska? Gdzie wyjeżdżają? Na nasze, na pewno dla nich natarczywe pytania, nic nam nie odpowiedzieli. Jeden tylko odpowiedział: „Taki mamy rozkaz”. Wśród granatowych nie było owych „cywilnych”. Chyba już od kilku dni nie było ich w Bojanowie. Kto to był, jaki mieli cel i zadanie?

---

<sup>38</sup> Właśc. Fijałkowski. Informacje o jego śmierci zob. przyp. 15.

Nikt już się nie dowiedział, a Niemcy, zaraz po wkroczeniu, zaczęli ich poszukiwać, nie starych granatowych, lecz młodych cywili. Jedna z wielu tajemnic drugiej wojny światowej, z którymi spotkałem się jeszcze nie raz w czasie pięciu lat.

Pierwszy dzień przeszedł spokojnie, naturalnie prócz owej śmierci biednego pana Macieja. Drugi dzień sobota, od rana jakieś pojedyncze strzały karabinowe zaczęły dochodzić jakby z Rynku, co to może być? Nie wytrzymałem, razem z ojcem udałem się na Rynek i co za obrazek? W owym czasie Rynek bojanowski, wybrukowany „kocimi łebkami”, posiadał pośrodku mały klomb, ogrodzony metalowym ozdobnym parkanikiem. W środku stała figurka Serca Jezusowego, a u podnóża której siedział przyjaciel i kolega ojca z gazowni, Stefan Kudelka<sup>39</sup>. Chłopisko młode, około trzydziestki, ponad 190 cm wzrostu i około 130 kg żywej wagi. Siedział sobie u stóp figury z karabinem między kolanami i gdziekolwiek pokazał się w oknie Szwab, walił do niego jak do kaczki. Na szczęście, jak się później okazało, nikogo nie trafił. Niemcy po kilku jego strzałach nie kwapili się do okien. Na wezwanie ojca, że ma poprzestać tych głupich kawałów, pokiwał tylko karabinem i pif-paf w kolejne okno. Szkło posypało się obficie, lecz żadnego krzyku ludzkiego nie

---

<sup>39</sup> Stefan Kudelka (26 grudnia 1906 – 10 lutego 1972), ur. w Nieparcie, syn Jana i Weroniki z domu Kantor. W okresie międzywojennym był pracownikiem gazowni w Bojanowie. 1 września 1939 r. na Rynku w Bojanowie strzelał w okna niemieckich domów. Przez cały okres okupacji ukrywał się w domu matki, utrzymywała go przy pomocy Jana Stasiaka i braci Jachowskich. Zmarł w 1972 r., jest pochowany na cmentarzu w Bojanowie.

136. Miejscowość *Bojanowo* ulica

Nr. porządkowy	a) Nazwisko, dla mełatek nazwisko panienskie oraz z poprzedniego (ci) małżeństwa (w) b) Imiona (kolejność i pisownia imion według metryki urodzenia)	Imiona rodziców i nazwisko panienskie matki	a) Data urodzenia b) miejsce urodzenia (miejscowość, gmina, powiat względnie kraj)	Zamieszkuje w charakterze: lokatora głównego, członka rodziny, sublokatora, pracownika	Zawód i stanowisko w zawodzie, stanowiące główne źródło utrzymania	Wyznanie (według metryki)
1	2	3	4	5	6	7
1	a) <i>Kudelka</i> b) <i>Jana</i>	<i>Kaleny</i> <i>Karjema</i> <i>pł. Karjema</i>	a) <i>18. I. 1884</i> b) <i>Żelazna kopalnia</i> <i>po Gólczu</i>	<i>z domu</i>	<i>robotnik</i>	<i>sygn. kat.</i>
2	a) <i>Kudelka</i> <i>pł. Karjema</i> b) <i>Karjema</i>	<i>Jana</i> <i>Karjema</i> <i>pł. Karjema</i>	a) <i>18. I. 1887</i> b) <i>Żelazna kopalnia</i> <i>po Gólczu</i>	<i>z domu</i>	<i>robotnik</i>	<i>sygn. kat.</i>
3	a) <i>Kudelka</i> b) <i>Karjema</i>	<i>Jana</i> <i>Karjema</i> <i>pł. Karjema</i>	a) <i>18. I. 1887</i> b) <i>Żelazna kopalnia</i> <i>po Gólczu</i>	<i>z domu</i>	<i>robotnik</i>	<i>sygn. kat.</i>
4	a) <i>Kudelka</i> b) <i>Jana</i>	<i>Jana Wronka</i> <i>z domu Karjema</i>	a) <i>18. I. 1884</i> b) <i>Gólcza</i> <i>powiat Karjema</i>	<i>z domu</i>		<i>sygn. kat.</i>

19. Wpis w księdze mieszkańców Bojanowa dotyczący rodziny Jana i Weroniki Kudelków, okres międzywojenny

APL, zespół nr 34/13/0, Akta miasta Bojanowo, sygn. 108, s. 136

usłyszeliśmy. Widocznie wystrzelił do pustego okna. Widząc takiego harcownika, udaliśmy się do domu. W godzinach popołudniowych do naszego mieszkania przybyli znajomi ojca, pan Miśkowiak<sup>40</sup> – właściciel restauracyjki w Rynku (obecnie sklep monopolowy), górnik-emeryt Jan Młagowski<sup>41</sup> i mistrz

<sup>40</sup> W rejestrze mieszkańców Bojanowa figuruje tylko Walenty Miśkowiak, ur. 10 lutego 1877 r., z zawodu kupiec, zamieszkały w Bojanowie od 1920 r. Być może prowadził także małą restaurację w Rynku. Jego żoną była Stanisława z domu Maciejewska. Zob. APL, zespół nr 34/13/0, Akta miasta Bojanowo, sygn. 106, s. 6–7.

<sup>41</sup> W rejestrze mieszkańców Rawicza figuruje Stanisław Małgowski, rencista, ur. 25 kwietnia 1877 r. w Twardowie (pow. Jarocin), zamieszkały w Bojanowie od 1931 r., który miał syna Jana. Być może autor pomylił imiona ojca i syna. Zob. APL, zespół nr 34/13/0, Akta miasta Bojanowo, sygn. 107, s. 320–321. W okresie zaborów w dokumentach wpisano formę nazwiska zgodną z potoczną wymową: Małgoski.



kominiarski Jan Maślanka<sup>42</sup>. Stara paczka „skaciarzy”, ale na skata nie mieli ochoty. Narzekali na Stefana (Kudelkę), że wyprawia głupstwa, że Niemcy mogą się mścić, że to może przynieść szkodę dla nas i postanowili następny dzień, czyli w niedzielę, dnia trzeciego września, wybrać się za Bojanowo, o ile jeszcze noc przejdzie spokojnie. Tak się stało.

W niedzielę rano zjawił się przed naszym domem ów restaurator, ciągnąc za sobą ręczny czterokołowy wózek naładowany dwoma skrzynkami trunków i piwem (naturalnie bojanowskim). I tak gdzieś około jedenastej ruszyliśmy na wędrowkę. Nie było mowy o ucieczce gdzieś daleko w Polskę. Ojcowie pragnęli tylko oddalić się na kilkanaście kilometrów od Bojanowa i nie być na miejscu. Mimo że współżyli jakoś tam z Niemcami, w drodze, gdy ciągnąłem wózek, jeden drugiemu zwierzał się, że każdy z nich coś tam kiedyś miał „na zębie” z takim lub innym Niemcem.

Ucieczka Polaków z Bojanowa nie była ogólna. Kilkanaście tylko rodzin wyjechało, przeważająca część polskich rodzin pozostała. Były to wszystko zasiedziałe, stare rodziny, które nie miały do kogo się udać w centralnych terenach kraju. Względnie które uważały, że wojna jest między wojskami, armiami, a nie ludnością cywilną. Nie znaliśmy jeszcze wtedy hitleryzmu. W niedzielę i poniedziałek

---

<sup>42</sup> Prawdopodobnie chodzi o kominiarza Franciszka Jana Maślankę, ur. 13 czerwca 1876 r. w Zdunach (pow. Krotoszyn), od września 1921 zamieszkałego w Bojanowie. Zob. APL, zespół nr 34/13/0, Akta miasta Bojanowo, sygn. 108, s. 468–469.

przemaszerowaliśmy przez Poniec<sup>43</sup>, Dzieczęnę<sup>44</sup>, Oporowo<sup>45</sup> do Goli<sup>46</sup>. Tam ojciec zarządził powrót. Pozostali ojca koledzy poszli dalej.

Powrócili po trzech tygodniach, okryci łachmanami, brudni, zmęczeni i gdzieś w jakimś miasteczku okradziono ich. Rozumowanie ojca było słuszne. O ile w naszym rejonie nie ma żadnych starć, to po co pchać się w ogień i nie wiadomo, w jaką biedę, dokąd i po co? Przenocowaliśmy w Goli u jakiegoś gospodarza, który też pozostał na miejscu i we wtorek wcześniej rano, około czwartej wyruszyliśmy ostrym marszem do Bojanowa. Około czternastej doszliśmy do Bojanowa od strony Tarchalina. Patrząc na miasto zauważyliśmy jakieś flagi na wieży kościoła ewangelickiego (dziś katolicki). Jeszcze byliśmy za daleko, ażeby móc rozpoznać. Podeszliśmy bliżej, a to swastyki na czerwonym. Na wszystkich domach naturalnie niemieckich. Było ich pełno. Jak dostać się do domu? Znając teren, obok wiatraka Niemca Hantzego<sup>47</sup> poprzez park i strzelnicę Michalaka<sup>48</sup> dobiliśmy do domu. Spotkaliśmy dużo Niemców. Nikt na nas nie zwracał uwagi. W domu

---

<sup>43</sup> Poniec – miasto w pow. gostyńskim.

<sup>44</sup> Dzieczęna – wieś w pow. gostyńskim, w gm. Poniec.

<sup>45</sup> Oporowo – wieś w pow. leszczyńskim, w gm. Krzemieniewo.

<sup>46</sup> Gola – wieś w pow. gostyńskim, w gm. Gostyń.

<sup>47</sup> Nie udało się odnaleźć bliższych informacji o właścicielu wiatraka.

<sup>48</sup> Być może chodzi o Stanisława Michalaka, ur. 20 kwietnia 1902 r. w Dolsku, zamieszkałego w Bojanowie od 1935 r. (zob. APL, zespół nr 34/13/0, Akta miasta Bojanowo, sygn. 107, s. 588–589). S. Jędraś w publikacji *Miasto i Gmina Bojanowo*, dz. cyt., s. 114 podaje: „Każdy nowy król kurkowy był zobowiązany fundować obfite przyjęcia dla wszystkich członków, zazwyczaj w restauracji parkowej u Michalaka”. Być może regionaliści z Bojanowa ustalią kiedyś związki Michalaka ze strzelnicą.

wszystko w porządku. Mama i dwie siostry (starsza Maria i młodsza Irena) całe i zdrowe. Z domu nie wychodziły. Nikt u nas też nie był. Opowiadały, że właśnie w ów wtorek 5 września, około jedenastej wojsko niemieckie weszło do Bojanowa od strony Trzebosza. Była ogromna wrzawa, powitania, orkiestra, flagi, przemówienia i huczne przyjęcie w magistracie. Noc minęła spokojnie, lecz już następny dzień rano pukanie do drzwi. Otwiera ojciec, w drzwiach dwóch znajomych miejscowych Niemców i dwóch żołnierzy Wehrmachtu<sup>49</sup>. Pierwszy raz zobaczyłem żołnierzy Trzeciej Rzeszy, stalowe hełmy, długie płaszcze i pistolety maszynowe w dłoniach, skierowane z miejsca na ojca. Ojciec w czystej niemczyźnie pyta się, o co chodzi? Na to jeden z żołnierzy zwraca się do miejscowego Niemca z pytaniem, czy nie pomylił się w adresie, przecież to jest Niemiec – wskazując na ojca. W tej chwili również mama zwróciła się do żołnierzy po niemiecku, o co chodzi, dlaczego oni jako żołnierze przychodzą do nas? Po wyjaśnieniu okazało się, że żołnierze niemieccy zostali poinformowani przez miejscowych Niemców, że Polacy to bandyci, znęcali się nad nimi, czyli mniejszością niemiecką i tym podobne bzdury i kłamstwa. Gdy ojciec jeszcze wyjaśnił, że służył w armii niemieckiej, przeszedł I wojnę światową, był dwukrotnie ranny, posiada niemieckie odznaczenia wojskowe, że kilkanaście lat przebywał

---

<sup>49</sup> Wehrmacht – całość sił zbrojnych III Rzeszy z wyłączeniem Waffen-SS, utworzona 16 marca 1935 r., ustawą o powszechnym obowiązku służby wojskowej. Wehrmacht został utworzony w miejsce zawodowej Reichswehry i obejmował trzy rodzaje sił zbrojnych: wojska lądowe, marynarkę wojenną i lotnictwo.

w Westfalii, to owi żołnierze tylko kiwali głowami i między sobą, że nic z tego nie mogą pojąć, co to za Polacy? Kto komu krzywdę robił, kto kogo gnębił? Zabrali nas jednak, choć zupełnie grzecznie rozmawiali z ojcem, że jeden z nich pochodzi z Nadrenii, że zna doskonale tereny Westfalii, ponieważ tam posiada rodzinę. Trafiliśmy na teren zakładu pracy przymusowej. Razem było nas około pięćdziesięciu w jednej dużej celi-salce. Noc przeszła spokojnie, bez snu, tylko na biciu się z myślami, co nas czeka, co będzie jutro? Następnego dnia rano około ósmej wywołano nas około dwunastu. Bez żadnej eskorty kazali udać się do magistratu. Tam tylko Niemcy, kilku znajomych w dziwnych brunatnych koszulach wpuszczonych w spodnie. Wszyscy wysokie, brązowe buty, na ramionach opaski ze swastyką. Między nimi kilku w czarnych mundurach, nie miejscowi. Byliśmy tam zaledwie parę minut, otrzymaliśmy rozkaz „za pół godziny” każdy ma się stawić w swoim miejscu pracy. Ojciec oraz dwóch jego kolegów – bracia Jachowscy do gazowni, inni pracowali w młynie lub innych zakładach. A gdzie ja? Ja przecież nie pracowałem. W domu znów krótka decyzja ojca „Siedź w domu, nigdzie nie pokazuj się na ulicy”. Minął jeden dzień i następny, gdy ojciec wrócił z pracy, podał mi mały liścik, „Co to jest?”, „Czytaj, to się dowiesz”. Karteczka była od Elzi: „Ojciec (Wernehr<sup>50</sup>) został burmistrzem, zgłoś się do pracy w majątku Rojęczyn, gdzie byłeś na praktyce. Do pracy będą dowozić. Poszukują i czekają na uczniów

---

<sup>50</sup> Dopisek w nawiasie podał J. Stasiak. Właśc. Wähner. Szerzej zob. przyp. 7.

waszej szkoły. Jak masz adresy, to ich ostrzec<sup>51</sup>”. Było kilku dobrych kumpli, choćby tych z naszego „wywiadu”, ale gdzie ich szukać? Adresów domowych dokładnych przecież nie miałem. Te z praktyk już w ogóle były nie do osiągnięcia, bo każdy odbywał je w swoich rodzinnych stronach. Byłem przekonany, że żaden z nich nie wróci. Tak się stało. Na następny dzień zgłosiłem się do magistratu, gdzie zapisywano na „roboty” – i kto robił zapisy – panna Müller, siostra Günthera<sup>52</sup>, syna rządcy mająteczku w Karolewie. Ów brat chodził ze mną przez siedem lat do szkoły. Gdy mnie zobaczyła, minę miała tak zbaraniałą, że prawie wybuchnąłem śmiechem. Skierowanie otrzymałem i następny dzień o siódmej zbiórka na Rynku i do Rojęczyna. Przyjechał znajomy fornał, który tylko pokiwał głową do mnie, a ja tak kręciłem się na wozie, że mogłem w końcu przysiąc się do niego i pierwsze moje słowa „Gdzie pan doktor?” Nie ma go na miejscu. Jeszcze parę tygodni przed wrześniem dał drapaka i już nie wrócił. Podobno w jakimś sztabie pracuje. Wiedziałem, po co zabrali go do sztabu... Zosia M. pracowała nadal. Jakaż to była praca dla nas. W pierwszych dniach obrywaliśmy kaczany z kukurydzy. Więcej śmiechu i zabawy wśród trzymetrowej kukurydzy, jak dobrej pracy. Po kilku dniach skierowano nas do okopywania kopców z ziemniakami. W międzyczasie miałem

---

<sup>51</sup> Powinno być: ostrzeż.

<sup>52</sup> W rejestrze mieszkańców Karolewa figurują Joanna Müller (ur. 16 lutego 1918 r.) oraz jej brat Günther (ur. 16 listopada 1920 r.) – dzieci Richarda Müllera, rządcy majątku w Karolewie (ur. 7 kwietnia 1886 r. w Kobylinie). Zob. APL, zespół nr 34/58/0, Akta gminy Bojanowo, sygn. 454, s. 164. Zob. też przyp. 15 i 16.

okazję spotkać się z Zosią i dowiedziałem się, że jeszcze dwa lub trzy tygodnie będziemy tu pracować. Miałem zostać na miejscu, które się znajduje, po co codziennie dojeżdżać. Po polnych pracach miałem pozostać na stałe. Zosia rozmawiała ze stelmachem, chętnie przyjmie mnie. Księgowy Szmyt<sup>53</sup>, który dojeżdża z Bojanowa, też mnie zna i mówił, że mogę zostać na stałe w majątku. Po prostu poczekać, przecież to niedługo, bo na wiosnę się skończy... Propozycja była kusząca. Z drugiej strony pamięć pana doktora kazała być czujnym. Niech by Szwabisko wróciło na jakiś tam urlop lub w innej sprawie, miałbym się z pyszna. Dałem się wreszcie przekonać, lecz tak sobie, z zachowaniem ostrożności kilka razy nie wracałem do domu. Tymczasem po kilku tygodniach okupacji doszło do spotkania z Elzi. Przyszła do mamy z jakimś tam szcieniem i co się dowiedziałem, że mniej więcej było to tak. Jej ojciec (burmistrz) nie jest złym człowiekiem, do Polaków nic nie ma. Ale inni, ten a tamten zaczynają sarkać, że jest za łagodny. Istotnie w grudniu 1939 roku zmienili na innego, lecz cóż z nami? Tato w domu tłumaczył, że nie możemy się więcej spotykać i to jest nasze ostatnie spotkanie (było jeszcze jedno, o którym wspomniałem na wstępie). Mówi się trudno. Nie chciałem jeszcze na nieodwracalne zrywać owej przyjaźni. Mogła się przydać. Istotnie, po trzech tygodniach pracy w Rojęczynie skończyły się dojazdy i należało szukać nowej pracy. Kilkakrotnie byłem zaangażowany w miejscowej gazowni

---

<sup>53</sup> Być może chodzi o nazwisko Schmidt, lecz nie udało się odszukać informacji o tym księgowym.

jako chłopak do wszystkiego. Co ja tam robiłem? Dowoziłem koks do pieca, wywoziłem szlakę<sup>54</sup>, smarowałem maszyny, czyściłem paleniska. Okazało się, że na takiego pomocnika nie było miejsca-etatu. Tym więcej, że kierownik gazowni Wizner<sup>55</sup>, którego przed wrześniem nie obchodziła polityka, stał się nagle wielkim działaczem politycznym. Pochwalił się nawet przed swoimi podwładnymi, że został członkiem NSDAP<sup>56</sup>. Tu już ojciec wkroczył i zabronił przychodzenia do gazowni. Nadchodziła zima, pierwsza tej okupacji. W jakiejś rozmowie z niemieckim gospodarzem z Tarchalina, Maksem Fuksem<sup>57</sup> znów ojciec wymyślił dla mnie pracę przy wyrąbывaniu i ładowaniu lodu z okolicznych stawów. Lód był dostarczany miejscowym rzeźnikom. Zakopcowany lód zastępował dzisiejsze lodówki. Rzeźników-Niemców było w Bojanowie aż pięciu, a Polaków-rzeźników tylko dwóch, Żak i Maćkowiak<sup>58</sup>. Niemieccy rzeźnicy posiadali po parze koni, którymi

---

<sup>54</sup> Żużel, tzw. szlaka – produkt odpadowy procesów hutniczych metali, stop zawierający zanieczyszczenia rud, topniki i pewną ilość tlenków metali lub pozostałość po spalaniu np. węgla, koksu, stanowiąca masę szklistego, spieczonego popiołu.

<sup>55</sup> Prawdopodobnie chodzi o Rudolfa Wiesnera, ur. w Wągrowcu 6 października 1904 r., zamieszkałego w Bojanowie od 1930 r. W rejestrze mieszkańców Bojanowa zapisany jest jako kierownik zakładu (Betriebsleiter). Zob. APL, zespół nr 34/13/0, Akta miasta Bojanowo, sygn. 108, s. 320–321.

<sup>56</sup> Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników (NSDAP) – niemiecka partia nazistowska. Zastąpiła istniejącą w latach 1919–1920 Niemiecką Partię Robotników. W latach 1933–1945 sprawowała w Niemczech totalitarną władzę.

<sup>57</sup> Max Richard Fuchs, ur. 4 kwietnia 1899 r. w Tarchalinie, syn Gustava i Augusty z domu Willner. Zob. APL, zespół nr 34/58/0 Akta gminy Bojanowo, sygn. 391, s. 26–27.

<sup>58</sup> Nie udało się ustalić tożsamości żadnego z tych rzeźników.

jeździli po wioskach i skupowali bydło i trzodę chlewną na ubój, dzisiejszą masę towarową. U czterech z tych niemieckich rzeźników było po jednym czeladniku i od dwóch do trzech uczniów. Polscy rzeźnicy mieli tylko uczniów. Rzeźnik Żak miał jednego konika, a drugi wcale. W jaki sposób on skupował ową masę towarową, nie wiedziałem. Uważam, że gospodarze dostarczali własnym zaprzęgiem, być może za jakąś dodatkową opłatą. Praca ta była naprawdę fajna, a jeszcze lepsza, gdy ów gospodarz Fuks pozostawiał mnie przy układaniu lodu w kopce, zazwyczaj na ogrodach zabudowań niemieckich rzeźników. Dobrze było to zajęcie nie tylko z tego powodu, że praca trwała od dziewiętej do piętnastej z uwagi na porę zimową, ale również dlatego, że śniadanie i obiad otrzymywałem od rzeźnika, u którego pracowałem. Zazwyczaj zapraszali mnie do kuchni, gdzie spożywała posiłek służba – czeladnik, uczniowie i pomoc domowa w osobie polskiej dziewczyny. Na śniadanie podawano jakiś tam kawałek kiełbasy na ciepło z chlebem. Na obiad różnie to bywało. Lecz zawsze talerz ciepłej zupy i drugie danie z dobrym kawałkiem mięsa. Na brak apetytu nie narzekałem. Najlepsze jedzenie pod względem obfitości otrzymywałem u braci Hermanów<sup>59</sup>. Dwóch braci kawalerów. Prowadzili swoje

---

<sup>59</sup> W księdze mieszkańców Bojanowa odnotowano kilka rodzin o nazwisku Hermann, jednak tylko w przypadku jednej rodziny jest informacja, że posiadała ona zakład rzeźniczy. Firmę prowadziła Augusta Klara Hermann (wdowa po Otto Hermanie) wraz z dwoma synami: Emilem Walterem (ur. w 1906) i Otto Kurtem (ur. w 1908). Zob. APL, zespół nr 13/34/0, Akta miasta Bojanowo, sygn. 106, s. 99–100.



rzeźnictwo w obecnej masarni GS-u<sup>60</sup> w Bojanowie. Jeden z nich, Gustaw, ogromnie brzuchate chłopi-sko często mnie odwiedzał przy układaniu lodu, przynosząc za każdym razem spory kawałek kielbasy. Słyszeli ze swoich wyrobów pod tym względem, że swoją recepturę opierali na bardzo tłustych wyrobach. Zagadywał mnie na różne tematy, nie pomijając i wojny, nawet Hitlera, stosunków polsko-niemieckich, z których wynikała wyraźna niechęć do nowej sytuacji „partyjno-nazistowskiej”. Nie wiedziałem, do czego zmierza. Byłem bardzo ostrożny w moich odpowiedziach i wypowiedziach. Dopiero pod koniec okupacji dowiedziałem się od ojca, że to był antynazista i skończył w obozie. Osadzony tam przez swoich ziomków. Należy tu jeszcze dodać, że ów gospodarz Fuks nie w każdy dzień zjawiał się z dowózką lodu. Gdy do godziny dziesiątej nie było go z pierwszą furmanką, musiałem biec nad staw tam, gdzie lód wydobywano. Były to stawy w Gołaszynie, w Browarze i w mieście, przy wylocie z Bojanowa w kierunku Rawicza. Gdy Fuksa tam nie było, miałem wolny dzień. Po owej „lodowej” pracy byłem zmuszony udać się do magistratu, gdzie otrzymałem skierowanie do pracy do majątku Sowiny odległego od Bojanowa o 7 kilometrów. Niepełne dwa lata codziennych dojazdów rowerem. Należało najpierw zdobyć rower. Dokonał tego ojciec. Nabył za parę marek jakiegoś starego przechodzonego „Bre-

---

<sup>60</sup> Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska” (GS) – nazwa spółdzielni produkcyjno-handlowo-usługowych istniejących w większości gmin wiejskich i miejsko-wiejskich w Polsce. Utworzone w okresie PRL-u gminne spółdzielnie miały wówczas praktycznie monopol handlu na wsi.

nabóra” (taka była marka roweru) i wspólnie dokonaliśmy niezbędnych zabiegów naprawczych. Maszyna służyła wiernie jeszcze dwa lata po zakończeniu wojny.

Tam w Sowinach przeszedłem prawdziwą edukację różnych zajęć. Pierwsza praca w kuźni. Kowal majątkowy, Rychter (Polak)<sup>61</sup> popatrzył na moje ręce i zdziwił się, co ja chcę w kuźni robić. Coś musiałem robić u niego, nie mogłem siedzieć przed kuźnią i muchy liczyć i łapać. I tak się zaczęło. Nosilem żelastwo z magazynu, dmuchałem w miech, podawałem narzędzia. Raz w sprzeczce kowala z fornałem na temat nowego konia, zajrzałem koniowi do pyska i określiłem dokładny wiek owego rumałka. Majstrowi obcęgi wypadły z ręki i zaraz gębą na mnie, co ja za jeden i skąd to znam. Rzucał różnymi epitetami. Wyjaśniło się wszystko i na zgodę poprosilem, by kowal nauczył mnie podkuwania koni. Po pełnym miesiącu nauki pod okiem majstra-kowala podkuwałem samodzielnie nasze dworskie konie. Dobry, pocziwy pan Rychter. Jeszcze długie lata po wojnie, podczas każdego spotkania, mieliśmy masę „spraw” do omówienia, przekazania i wspominania. Jednak po czterech miesiącach musiałem opuścić gościnne progi majątkowej kuźni, ponieważ z polecenia Pośrednictwa Pracy<sup>62</sup> został

---

<sup>61</sup> Chodzi o kowala Jana Rychtera, ur. 20 grudnia 1909 r. w Poniecu, syna Jana i Teodozji z domu Krawczyk, zamieszkałych w Sowinach. Zob. APL, zespół nr 34/58/0, Akta gminy Bojanowo, sygn. 420, s. 109 – 110. Ożenił się 9 lutego 1934 r. z Joanną z domu Jankowiak. Ich córka Genowefa ur. się w Sowinach 31 grudnia 1934 r. Informacje o małżeństwie Jana i urodzeniu córki przekazał USC w Bojanowie.

<sup>62</sup> Arbeitsamt – urząd pracy, organ administracji państwowej w nazistowskich Niemczech, zajmujący się całością spraw

skierowany dodatkowy kowal z Ponieca. Ojciec rodziny, jak się okazało, poczynił masę starań, ażeby zadekować się w Sowinach przed wywiezieniem na roboty do Rzeszy. Z żalem odchodziłem z kuźni. Nie było to zbyt długie rozstanie, ponieważ przeszedłem do pracy do majątkowego stelmacha. Było już tam dwóch „dekowników” prócz majstra Franka Łabusińskiego<sup>63</sup>, który też dojeżdżał z Ponieca. Znalazłem się jako trzeci, a oprócz mnie było tam dwóch chłopaków z Sowin – Franek Fibich i Maryś Jakubowski. Garnąłem się do stolarki do tego stopnia, że nieraz majster rugał mnie zdrowo za moje stałe zainteresowania tak nowymi dla mnie narzędziami, jak również tajnikami pracy w drewnie. Nauczyłem się stolarki. W życiu jakby znalazł. Podwórzowy w majątku o nazwisku Hajder<sup>64</sup> (też Polak) od czasu do czasu angażował mnie do wypełniania różnych papierkowych zajęć. Tym więcej, iż prowadził on również magazyny (paszowy, zbożowy i wszelakich narzędzi).

Pracowałem i w ogrodzie, gdzie szefową była panna Wacka Bartrz<sup>65</sup>. Losy okupacji przyniosły ją

---

zatrudnienia. Na okupowanych ziemiach polskich zaczęto je tworzyć już we wrześniu 1939 r.

<sup>63</sup> Franciszek Łabusiński, ur. 16 września 1910 w Poniecu, kołodziej, zamieszkały Sowinach od 1935 r. Zob. APL, zespół nr 34/58/0, Akta gminy Bojanowo, sygn. 420, s. 117–118.

<sup>64</sup> W rejestrze mieszkańców Sowin figuruje Ernst Heider, robotnik rolny, ur. w Szkaradowie 24 lutego 1906 r., w Sowinach zamieszkały od 1936 r. Zob. APL, zespół nr 34/58/0, Akta gminy Bojanowo, sygn. 420, s. 113–114.

<sup>65</sup> Bartrz – pisownia mało prawdopodobna. Kazimierz Rymut (*Nazwiska Polaków. Słownik historyczno-etymologiczny*, t. 1, A–K, Kraków 1999, s. 22) podaje wariant pisowniowy Bartz, odsyłający do formy Barcz.



20. Dwór w Sowinach – widok współczesny (autor hasła: wwat)

Źródło: <http://www.polskaniezwykla.pl/web/place/40943,sowiny-dwor-w-sowinach-.html>

aż spod Lublina, gdzieś tu w rawickim była w gościnie i wyjazd został utrudniony. Zahaczyła się w ogrodnictwie i tak pozostała. Po pewnym czasie rządcą majątku Sowiny – Niemiec sprowadzony z okolic Grudziądza (Brythner lub Brüller<sup>66</sup>) – nie mogę sobie przypomnieć tego nazwiska, zwrócił na mnie uwagę i zaproponował mi pracę w biurze majątkowym. Dokładnie mnie „wybadał”, a po polsku rozmawiał bardzo dobrze, twierdząc, że tak w kuźni, jak i u stelmacha lub u podwórzowego mogą spokojnie inni pracować. Mnie natomiast

---

<sup>66</sup> W rejestrze mieszkańców Sowin figuruje Karl Boethelt, ur. 19 kwietnia 1889 r w okolicach Grudziądza, sprowadzony do Sowin 10 listopada 1939 r. Zob. APL, zespół nr 34/58/0, Akta gminy Bojanowo, sygn. 420, s. 61–62.

widział w biurze. Nie przyjąłem tej propozycji, tłumacząc się nieznajomością niemieckiego w mowie może mniej, lecz w piśmie... Nie nalegał, ale zapamiętał mnie. Później żałowałem, ale było już za późno. Na koniec mojej pracy w Sowinach zostałem dekarzem. Zgłosiło się trzech Polaków jako dekarze, Stachu Kruszką z Bojanowa, który chyba nigdy na żadnym dachu nawet nie siedział, oraz dwóch braci Piotrowskich z Klapowa<sup>67</sup> pod Bojanowem. Kiedy otrzymałem skierowanie od podwórzowego do owej ekipy, ręce mi opadły. Wiedziałem, że wyspa nastąpi na pewno. Co tu robić? Żaden z nas nie miał zielonego pojęcia o dekarstwie, o zaprawie, kielni. Coś musieliśmy wymyślić. Po długich debatach, w których brała udział ogrodniczka Wacka, księgowa Jadzia Przybylska<sup>68</sup> z Ponieca i ogrodnik Iga Podkowski (później ojciec chrzestny mojego pierworodnego), zapadła decyzja, że należy poszukać prawdziwego dekarza, który nas fachu nauczy. Znalazł się taki w Wydartowie. Był nim Jan Gościański, gospodarz na trzech lub czterech hektarach, który dorabiał dekarstwem na gospodarstwie. Zgodził się, by nas przyuczyć, a każdy z nas jedną trzecią zarobku przekazał mu jako frycowe. Po upływie dwóch lub trzech tygodni potrafiliśmy już jakoś tam po dachach się poruszać. A dachy stodół, magazynów, obór, stajni, a pałacu w Sowinach w szczególności, były okropnie wysokie. Pracowaliśmy naprawdę pod okiem nasze-

---

<sup>67</sup> Klapowo – niewielka osada, położona przy drodze Bojanowo – Sowiny, która podlega sołectwu w Wydartowie.

<sup>68</sup> Nie udało się odnaleźć bliższych informacji o Jadwidze Przybylskiej.

go majstra w godzinach popołudniowych, gdy ów człowieczek przybywał do nas. Tego też fachu musiałem się nauczyć. Ileż to razy w pierwszych dniach dachówki spadały, zaprawa w szafliku<sup>69</sup> „chlastała” nam po gębach, a obuwie mieliśmy zawsze pełne owej dekarskiej zaprawy.

Cóż się działo w majątku? Pracowało tam około czterdziestu dziewczyn z tak zwanego zaciagu, które broniąc się przed wywiezieniem do pracy w Rzeszy, jakoś tam u siebie zorganizowały się i przebywały w Sowinach. Pochodziły z okolic Wieruszowa i Kępna. Dużo z nich pozostało na stałe w Sowinach lub na terenie powiatu rawickiego. Z pokrewną mi duszą „Wacką-ogrodniczką” weszliśmy w kontakt z nimi. Były różne tak pod względem inteligencji, jak i spojrzenia na sprawy bieżące i okupacyjne. Stary, niezagospodarowany spichrz (przeznaczony na rozbórkę) posłużył nam na organizowanie na początek potańcówek i miejsca śpiewania polskich piosenek. Znalazła się stara mandolina i zwykłe grzebień, na których dwie z tych dziewczyn wspaniale grały. Robiliśmy „deklamacje” Pana Tadeusza, wystawiliśmy nawet „Jasełka”. Każdorazowo okna były szczelnie zasłaniane. Posłużyły nam do tego worki z majątkowego magazynu, do których klucze miała miejscowa dziewczyna Jadzia Kubiakówna<sup>70</sup>. Cóż to była za wspaniała dziewczyna. Kiedy w kilka lat po wojnie zobaczyłem na zdjęciach rekordzistkę w rzucie

---

<sup>69</sup> Szaflik – okrągłe naczynie z klepek, zwykle drewniane, z jednym lub dwoma uchwytemi, używane dawniej w gospodarstwie wiejskim.

<sup>70</sup> W rejestrze mieszkańców Sowin nie udało się odnaleźć bliższych informacji o Jadwidze Kubiak. Zob. przyp. 73.

dyskiem – radziecką Dunbadze<sup>71</sup>, długo szukałem w pamięci owego pierwowzoru. Naturalnie, ależ tak – taka była właśnie nasza Jadzia Kubiakówna, wysoka, wspaniale zbudowana, śniadolica i do tego cholernie silna. Worki z ziarnem o ciężarze do stu kilogramów sama sobie podrzucała na ramię. Och, gdybyż to taka wzięła dysk lub kulę do ręki. Również i sprawa „oświecenia”, czyli lampy i nafty leżała w gestii owej „Dunbadze”. Różne bywały nasze próby podtrzymania w jakiś tam sposób utraconej polskości, zachowania polskiej mowy i polskiej piosenki. Znajomości przetrwały do dziś. Spotykam jakże często starsze panie, których uśmiech i przyjazne witanie się jest wspomnieniem naprawdę czegoś pięknego i szlachetnego.

Jedynie moje dojazdy do Sowin z Bojanowa sprawiały często okropne trudności. Najgorsze były okresy deszczowe, słońca, jesień i zima. Droga wiodła przez Klapowo do Sowin. Polna droga o podłożu gliny, często drożyny były nieprzejezdne. Trzeba było prowadzić rower, a często też nocowałem u spokojnych, dobrych i szlachetnych ludzi. Majster kował Rychter miał tylko jedynaczkę, Genię<sup>72</sup> (dziś szanowna pani nauczycielka) i gdy pogoda sprawiała drogę nieprzejezdną, jakże często u nich nocowałem. Z panią Genią (rówieśniczką) ileż to długich wieczorów przegadałem na temat wojny. Co będzie-

---

<sup>71</sup> Właśc. Nina Dumbadze (1919–1983) – radziecka lekkoatletka, dyskobolka, mistrzyni Europy i medalistka olimpijska, rekordzistka świata. Dumbadze siedmiokrotnie poprawiała rekord świata w rzucie dyskiem: z 49,11 m w 1939 r. do 57,04 m w 1952 r.

<sup>72</sup> Zob. przyp. 61.

my robić po wojnie? Czy będziemy pamiętać o sobie, o nas wszystkich?

Dziś dojechać do Sowin to przyjemność, sunie samochód po równej asfaltowej drodze, zniknęły wierzby przydrożne i owe niegościnnie rowy, do których nie raz mój rowerek usuwał się po mokrej glinie. Sama wieś Sowiny była przysłowiową polską wsią, z polną, rozjechaną koleinami drogą, z rowami i wierzbami na poboczach. Ileż to wtedy było domów krytych słomą. Dziś Sowiny nie te z tamtych lat. Ulica wiejska wyasfaltowana, chodniki w miejscach dawnych rowów i wierzb. Znikły słomiane dachy i stare chałupy. Dziś to wieś zasobna, bogata, gospodarna, a ludzie na pewno ci sami, dobrzy i szlachetni. Znałem całe rodziny – Jakubowskich, Leciejewskich, Lewandowskich, Kubiaków ze wspaniałą „Dunbadze” i jej fajnym bratem Wojtkiem<sup>73</sup>. Z majątkowych ludzi – Rychterów, Katarzyńskich, Hajdrychów, Maćkowiaków i wielu innych, którzy w tym czasie, w latach okupacji jakże szanowali się i poważali. W stosunku do mnie, przybysza, jak również do owych dziewczyn przybyłych spod Wieruszowa i Kępna, nie było żadnych uprzedzeń, odgradzania się. Byliśmy wszyscy równi, nawzajem mieliśmy do siebie szacunek i poważanie. A dziś?

Księgowa Jadzia w jakiś tam sposób dotarła do pisemka z powiatu o „likwidacji trzody chlewnej ponad jedną sztukę u wszystkich rodzin majątkowych”. Niemcy doszli do przekonania, że jedna świnka

---

<sup>73</sup> W rejestrze mieszkańców Sowin odnotowano rodzinę Wojciecha i Marianny Kubiaków oraz ich syna Wojciecha, ur. 4 kwietnia 1917 r. Niestety nie ma w tym wpisie córki Jadwigi. Zob. APL, zespół nr 34/58/0, Akta gminy Bojanowo, sygn. 420, s. 113–114.



wystarczy polskiej rodzinie oprócz otrzymanych przydziałów. Wieczorem „narada” w pokoiku Wacki – co robić? Należało te rodziny ostrzec, bo termin kontroli wyznaczony był za trzy dni. Decyzja krótka – ktoś musiał pochodzić po mieszkaniach i ludziom to wytłumaczyć. Wziąłem sprawę na siebie i w jeden wieczór „obkoleďdowałem” wszystkich zainteresowanych. Sprawa się udała. Istotnie po trzech dniach jakieś towarzystwo przybyłe z Bojanowa razem z naszym rządcą poczyniło kontrolę i o dziwo, w każdym chlewiku było tylko po jednej śwince. Kiwali głowami w czasie „wizyty” po chlewikach, nic nie powiedzieli i odjechali. Proszę sobie wyobrazić, co się działo w mieszkaniach tych rodzin, które posiadały więcej jak jednego świniaka.

Wiezorami i nocami pachniało w tych mieszkaniach, pachniało! W kilka dni po tych ubojach z konieczności poprosił mnie majster Rychter, abym po pracy wpadł do niego. Naturalnie zaszedłem, a tu pełna misa pieczonego mięsiwa. To było dla mnie, wiedziałem za co. Ale jak to miałem zabrać do domu do Bojanowa? Pomysł zrodził się sam. Dostałem duży, stary wojskowy plecak i mięsiwo. Jednak tylko jego połowa tam się zmieściła, bo zostało otoczone odpadkami drewna z warsztatu stelmacha. Plecak wsunąłem na ramię i udałem się w drogę. Udało się dwa razy i do trzech razy sztuka. Gdy po raz trzeci wiozłem owe pachnące delicje obłożone drewnkami, w lesie na odcinku Klapowo – Bojanowo natknąłem się na żandarmów<sup>74</sup>. Jechali na rowerach w stronę

---

<sup>74</sup> Podstawowymi jednostkami policyjnymi, na których spoczywało zadanie zapewnienia porządku były jednostki policji ochron-

Klapowa. Jeden z nich to komendant bojanowskiego posterunku, stary otyły wachmajster<sup>75</sup> lub oberwachmajster<sup>76</sup> Pilz<sup>77</sup> (drugi z młodej generacji). Sta-  
nęli na wąskiej ścieżynie zupełnie nad rowem (dość  
głębokim w tym miejscu) i zapytali, co mam w plecaku.  
Kiedy zsuwałem plecak z ramion, oberwachmajster  
wyciągnął rękę, by go obmacać. W jednej chwili  
oboje zsunęliśmy się do rowu, a tam wody po kolana  
i glina, która oblepiła wysokie, brązowe, na połysk  
wyczyszczone buty Niemca. Mój plecak poturlał  
się o parę metrów za rów. Niemiec wygramolił się

---

nej (Schutzpolizei des Reiches), gminnej (Schutzpolizei der Gemeinde) i żandarmerii (Gendarmerie). Były one tym samym  
głównym trzonem pionu policji porządkowej (Ordnungspolizei).  
W zależności od tego, ile ludzi zamieszkiwało dane terytorium,  
instalowano jeden z trzech wyżej wymienionych organów  
aparatu policyjnego. W uproszczeniu policja ochronna pełniła  
służbę w największych ośrodkach, gminna – w mniejszych miastach,  
zaś żandarmeria na terenach wiejskich. Bezpośrednio  
podlegały one miejscowym organom władzy samorządowej  
(prezesom rejencji, dalej zaś landratom). W przeciwieństwie  
do większości terenów Rzeszy Niemieckiej, w nowo utworzonych  
w latach 1938–1939 okręgach Rzeszy, tj. na ziemiach austriackich  
i polskich, jak również w prowincji Śląsk, cezurą powyżej  
której w miejscowości zadanie ochrony porządku przechodziło  
ze struktur żandarmerii na policję gminną, ustalono na pułapie  
5 tys. mieszkańców (a nie, jak na pozostałym obszarze, 2 tys.).  
W każdym powiecie stacjonował oddział żandarmerii (Gendarmerie-  
Abteilung), pod który podlegało najczęściej kilkanaście  
większych (Gendarmerie-Gruppenposten) i mniejszych (Gendarmerie-  
Einzelposten) posterunków. Te ostatnie liczyły zaledwie 3–6 funkcyj-  
niarzy.

<sup>75</sup> Niem. Wachtmeister – wachmistrz.

<sup>76</sup> Niem. Oberwachtmeister – starszy wachmistrz.

<sup>77</sup> Komendantem Policji Porządkowej (Ordnungspolizei) w Bojanowie w okresie od 13 lutego 1940 do 3 maja 1941 r. był Hauptwachtmeister (szef-wachmistrz) August Pilz, ur. 21 stycznia 1900 r. w Mährisch Altstadt (Morawy). Następnie został przeniesiony do Jutrosina. Figuruje w rejestrze mieszkańców Bojanowa. Zob. APL, zespół nr 34/13/0, Akta miasta Bojanowo, sygn. 108, s. 500–501.

z rowu przy pomocy drugiego, a ja czekałem, co dalej się wydarzy. Nie wiedziałem, co robić, co począć ze sobą? Niemcysko było tak zdenerwowane swoim upadkiem, że nie zwracało na mnie uwagi. Podniósł swój rower, machnął ręką w moją stronę i pchając rowery ruszyli do Klapowa. Z dala tylko dobiegały do moich uszu przekleństwa: „Przeklęte polskie drogi i polski porządek...”. Jak ja się cieszyłem wtedy, że właśnie takie były nasze kochane, polskie drogi. I gdyby wtedy, w drodze do Bojanowa ten odcinek stanowiłby jazdę na czas – daleko w tyle pozostałby Mytnik, Szurkowski i Szozda<sup>78</sup>. Jak cudownie grał mój stary, biedny „Brenabor”. Nie omijałem kałuż i wybojów. Niósł mnie mój stalowy rumak – i oby tylko do domu. Na następny dzień opowiedziałem o wszystkim kowalowi. Zdecydował, że zabiorę resztę do domu, ale już nie w taki sposób. Rzeczywiście – któregoś dnia matka w domu tłumaczyła, że mleczarek z Sowin przyszedł do mieszkania z konwią, a w niej owe smaczne, pachnące kawałki „sowińskich blondynek” od Rychtera.

Zdarzył się jeszcze inny przypadek, który również mógł się zakończyć tragicznie. W tym czasie pracowałem w Sowinach pod rządami niemieckimi. Rozpoczęto burzyć stare „dwojaki” i „trojaki” dworskie, czyli chatynki dla rodzin majątkowych. Pobudowane były poza obrębem majątku, przy wylocie drogi z Sowin do Ponieca. Stare, zawilgocone, zażrzybiałe, zapadające się chatki. Obraz i chluba dla tych, dla których śpiewano „O cześć wam, panowie

---

<sup>78</sup> Tadeusz Mytnik (ur. w 1949), Ryszard Szurkowski (ur. w 1946) i Stanisław Szozda (1950–2013) – znakomici polscy kolarze.

hrabiowie, magnaci...”<sup>79</sup>. Okupant Niemiec musiał burzyć to, co dla nich – psu bratów było wystarczające dla dworskiego ludu. Podczas burzenia takiej jednej z owych ruder gdzieś w okolicach Gościejewic<sup>80</sup> odbywały się jakieś tam ćwiczenia niemieckich żołnierzy. Jakiś oddział konnicy, może w sile jednego szwadronu<sup>81</sup>, nacierał od strony Sowin na Gościejewice. To nie była nasza polska konnica, nasi ułani-malowani, ciężkie koniska, objuczone, nie tak jak polska kawaleria. W tym czasie w armii niemieckiej jeszcze spotykało się dużo kawalerii, jak również artylerii konnej. W momencie, gdy ów szwadron stępa przesunął się o kilkadziesiąt metrów od nas, jedna z naszych burzonych przez nas chałup zawaliła się. Huk był, jak dobry wybuch granatu lub miny. Żołnierze zeskoczyli z koni do rowu i popruli w naszą stronę z broni maszynowej, aż dudniło po naszych ruinach. My naturalnie wszyscy upadliśmy na ziemię. Było nas czterech, dowodził nami majster-stelmach Łabusiński<sup>82</sup>. Dwóch lub trzech Niemców wpadło z pistoletami do nas. Majster-stelmach umiał dobrze po niemiecku, wytłumaczył więc, co tutaj robiliśmy i żołnierze poszwargotawszy<sup>83</sup> między sobą, odjechali. Jakże blisko byliśmy od „wyjechania na łono Abrahama”, gdybyśmy nie dość wcześniej padli na ziemię podczas zawalania się

---

<sup>79</sup> Właśc.: *O, cześć wam panowie, magnaci.*

<sup>80</sup> Gościejewice – wieś w pow. rawickim, w gm. Bojanowo.

<sup>81</sup> Szwadron – pododdział kawalerii będący odpowiednikiem kompanii w piechocie.

<sup>82</sup> Zob. przyp. 63.

<sup>83</sup> Szwargotać – mówić w sposób niewyraźny, niezrozumiały, w jakimś języku obcym, zwłaszcza po niemiecku.

chałupy, kiedy pojawiły się kłęby kurzu ze spróchniałego drewna. Trudno by było mówić wtedy o szczęściu. Nadchodził czas rozstania się z pięknym majątkiem Sowiny i tymi dobrymi i szlachetnymi ludźmi. Tak jakoś w moim sercu się układa, że co dobre szybko się kończy lub za piękne, ażeby było prawdziwe. W jakimś tam czasie któraś kontrola wykazała, że w stosunku do hektarów i obsady bydła za dużo robotników. Ten fakt odkryłem sam po upływie dwóch może trzech miesięcy. Zbyt wielu było nas dekowników, za dużo udawania roboty. Wszyscy pracowali, ale w wyniku redukcji mnie los nie oszczędził. Musiałem pożegnać gościnne Sowiny i jakże szlachetnych ludzi. Któregoś dnia przewieźli nas, około czterdziestu do Rawicza<sup>84</sup> (na dwóch wozach) do Pośrednictwa Pracy. Podzielono nas na grupy według zawodu. Ja trafiłem do grupy „resortu rolnictwa”. Od tego momentu przekląłem wybór mojego zawodu. Gehenna miała dopiero nastąpić. Na plac wyboru siły roboczej zjechali się gospodarze niemieccy z okolic Rawicza. Padaly jakieś nazwy „Trachenberg” to dzisiejszy Żmigród<sup>85</sup>, „Königsdorf” to dzisiejsze Załęcze<sup>86</sup>, „Zarne” to Sarnowa<sup>87</sup>, „Schli-

---

<sup>84</sup> Rawicz – miasto powiatowe w południowo-zachodniej Wielkopolsce.

<sup>85</sup> Żmigród – miasto w woj. dolnośląskim, w pow. trzebnickim, siedziba gminy miejsko-wiejskiej Żmigród, leżące nad rzekami Barycz i Sącicznica.

<sup>86</sup> Załęcze – wieś w pow. rawickim, w gm. Rawicz.

<sup>87</sup> Sarnowa – dawne miasto, obecnie osiedle Rawicza. Najstarsza wzmianka mówiąca o Sarnowej jako mieście pochodzi z 1262 r. Inni badacze podają jednak rok 1407 jako pewną datę, kiedy to Sarnowa otrzymała lokację miejską na prawie magdeburskim. W dniu 1 stycznia 1973 r. obszar Sarnowej włączono do miasta Rawicza.

trze” – Żylice<sup>88</sup>, o których nigdy nic nie słyszałem. Gdy duża grupa około dwudziestki została wybrana przez pracowników Arbeitsamtu na wywiezienie do Rzeszy i zabrana z miejsca w inne miejsce, nas pozostałych zaczęli „ogłądać” gospodarze. Chodzili wśród nas, rechotali, oglądali jak bydło na skupie, zaglądali do papierów. Wszystkie dokumenty każdy z nas musiał trzymać w ręce przed sobą. Obok mnie stała mała wzrostem, lecz duchem wielka i strasznie „wypyskaczona” Franka Czmojda, gdzieś spod Wieruszowa<sup>89</sup>. Powiedziała do mnie, że jeśli jeszcze raz któryś z nich zacznie ją obmacywać, to opluje cholerne Niemczysko. Uspokoilem ją, że tak nie można, że za taki „wyczyn” na pewno by nie pojechała na żadne roboty, tylko wprost do więzienia i tam w „obmacywanie” na pewno nie bawiliby się. Wkrótce zabrana została w okolice dzisiejszego Milicza. Ja stałem, może moja głupia mina, zgężona<sup>90</sup> postać odstraszała nabywających. Licho nie śpi. Furman, który nas przywiózł z Sowin, czekał na zakończenie tego „ludzkiego targu” i w pewnym momencie podszedł do mnie z pytaniem, czy jedziemy z powrotem? Nie zauważyliśmy, że za nami stoi jakieś Niemczysko. Gdy usłyszał te słowa, podszedł, obejrział moje papiery i zabrał na swoje gospodarstwo w Żylicach koło Rawicza. Wpadłem. Gospodarstwo 14-hektarowe, gospodarz Gustaw, żona – Emma,

---

<sup>88</sup> Żylice – wieś w pow. rawickim, w gm. Rawicz. Właśc. nazwa niemiecka to Schlitz.

<sup>89</sup> Wieruszów – miasto w woj. łódzkim, na ziemi wieluńskiej, na Wysoczyźnie Wieruszowskiej, nad Prosną, Niesobem i Brzeźnicą. Siedziba powiatu wieruszowskiego i gminy Wieruszów.

<sup>90</sup> Zgężony – (gwarowe) skurczony, skulony (z zimna).

syn – Bernard, wszyscy z nazwiskiem Weigelt<sup>91</sup>. Tak zostałem parobkiem-knechtem<sup>92</sup>. Spanie – ni to łóżko, ni kanapa, jakaś kołdra, ni poduszka, a wszystko razem brudne i dawno nie prane. Dziwne to było, bo Niemcy znani byli z czystości, porządku, regularności... Później dowiedziałem się, że nawet wśród sąsiadek Niemek moja gospodyni nosiła imię „Schwarze-Emma”<sup>93</sup>.

Roboty miałem od wczesnego rana do późnego wieczora. Udawałem wariata, że przy koniach nie umiem robić. Bałem się o czystość moją osobistą, gdyż podczas pracy przy koniach było dużo brudu, który wżerał się w skórę, powodując czasami pęknięcie skóry. Żaden ułan przedwojenny nie narzekał na oporządzanie konia, na wołtyżerkę, na ataki, szarże lub marsze. Narzekali tylko na utrzymanie konia w czystości. Mnie to groziło na pewno przy ogólnej „czystości”, jaka panowała w owym gospodarstwie. Dochodziła do tego troska o mój wzrok, gdyż kurz i brud koński jest bardzo szkodliwy. Noszę okulary od dwunastego roku życia, i to bardzo silne szkła, bo 6–7 dioptrii.

Na moje różne tłumaczenia, że roboty takie a takie można wykonać inaczej, nawet szybciej, że można poprawić na lepsze i uczynić lżejszą pracę, otrzymywałem jedną i taką samą odpowiedź. Byłem

---

<sup>91</sup> W rejestrze mieszkańców Żylic figurują Gustaw Weigel, jego żona Emma oraz synowie Wilhelm i Bernhard. Zob. Archiwum Państwowe w Lesznie (dalej: APL), zespół nr 34/62/0, Akta gminy Rawicz, sygn. 167, s. 68–69.

<sup>92</sup> W tymże rejestrze mieszkańców jest informacja, że Józef Stasiak przebywał w Żylicach od maja 1941 do grudnia 1942 r. Zob. APL, zespół nr 34/62/0, Akta gminy Rawicz, sygn. 167, s. 68–69.

<sup>93</sup> Właśc. Schwarze Emma.

tam do pracy, mogłem nawet zdychać, a oni znajdą i dostaną innego lub wielu Polaków.

Nie było dosłownie godziny wytchnienia, nawet w niedzielę, gdy inni parobkowie i dziewczyny w godzinach popołudniowych wychodzili latem na Masłówkę. Zimą schodzili się u znajomych. Podczas gdy ja otrzymywałem zawsze takie prace, których nie sposób było nie wykonywać. Kontrolowała mnie zawsze i gdzie tylko mogła owa Emma. Nawet gospodarz Gustaw był czasami litościwszy, ale ona litości nie miała. Podczas pilnych prac, jak przerywka buraka, żniwa lub wykopki przychodziły do pracy Polki, żony robotników pracujących w Rawiczu, a zamieszkałe w Żylicach (Twardowska, Przybylska, Bartkowiakowa, Lipowczykowa), dociekałem, skąd ta nienawiść do Polaków. Weigelowie<sup>94</sup> zamieszkiwali w Żylicach od 1925 roku. Owe Polki też nie wiedziały, uważały, że gospodarstwo Weigelów<sup>95</sup> zawsze było jakieś podupadłe. Oni nie kolegowali się z innymi niemieckimi gospodarzami. Byli tam dobrzy gospodarze, jak Knappe<sup>96</sup>, Schultze<sup>97</sup>, u których parobkowie i dziewczyny polskie miały zupełnie znośne życie. Doszedłem wreszcie do sedna sprawy, gdy dowiedziałem się, że najstarszy syn Willi<sup>98</sup> (oczko w głowie Emmy) jest żołnierzem na wschodnim froncie. Niemka nie mogła zrozumieć, dlaczego

---

<sup>94</sup> Właśc. Weigelowie, potocznie Weiglówie, zob. przyp. 91.

<sup>95</sup> Właśc. Weigelów, potocznie Weiglów, zob. przyp. 91.

<sup>96</sup> Karol Oskar Knappe, ur. 31.08.1889 r. w Żylicach. Zob. APL, zespol nr 34/62/0, Akta gminy Rawicz, sygn. 167, s. 40–41.

<sup>97</sup> Nie udało się odnaleźć bliższych informacji o tym gospodarzu z Żylic.

<sup>98</sup> Zob. przyp. 91.





lażł się pod następną ścianą. Poparł diagnozę polskiego weterynarza, że to jakiś napad amoku-szału powstały w wyniku braku zbliżenia klaczy do ogiera. Po kilku dniach szaleństwa klacz zdechła. To było takie proste, dostała garść małych, drobnych kuleczek, które znajdują się w każdym łożysku przedniego i tylnego koła rowerowego. Garść takich kuleczek wsypana w końskie ucho jest zawsze powodem szaleństwa, tym bardziej, że koń był wysokiej klasy półkrwi arabskiej, z byłego majątku Łaszczyn.

Wściekłość Emmy nie miała granic. Na każdym kroku słyszałem o polskich głupich weterynarzach, o uczniach szkoły rolniczej, którzy nie wiedzą, co może zwierzęciu dolegać. Czego w tych szkołach uczono? Łajdaczenia się? Gnębienia Niemców, wywoływania wojny itp. Wszystko „okraszone” polskimi świniami, bandytami, złodziejami itd. Zachowanie Emmy uzależnione było od wieści nadchodzących ze wschodu, a wściekłość doszła do zenitu, gdy nadeszła wiadomość o pobycie Willego w szpitalu i amputacji nogi. Po prostu bałem się o życie. Dochodziło do gonienia i pędzenia mnie widłami po podwórzu. Oddychałem spokojniej, gdy mogłem udać się w pole. Emma w pole nie wychodziła. Bez przerwy wrzaski i krzyki. Wyczuwałem, że pozostali Niemcy zupełnie odsunęli się od Weigeltów<sup>99</sup>. Obserwowali, ale nie wtrącali się. Rozmowy przeprowadzane przez Polaków-robotników z Gustawem nie odnosiły skutku. Była głęboka jesień. Wyczerpany fizycznie i nerwowo traciłem nie tylko na

---

<sup>99</sup> Właśc. Weigelów, potocznie Weiglów, zob. przyp. 91.

siłach, ale i również na wadze. Mam wzrost 170 cm, waga moja nie przekraczała 40 kg, chodzący cień. Wspomniani Polacy zaczęli mnie dożywiać, bo Emma zastosowała wobec mnie oddzielne jedzenie. Trzy razy dziennie zupa z dyni z ziemniakami, prawie nieokraszonymi, bez soli, bez smaku.

Pod koniec listopada organizm nie wytrzymał. Gorączka, zapalenie obustronne płuc, zwolnienie nadeszło. Przez dwa dni nie mogłem wyjść z mojego barłogu. Ktoś widocznie z Polaków powiadomił sołtysa-Niemca (Otto Seijler<sup>100</sup>), który przyszedł, zajrzał do mnie i widocznie przekonał Weiglów<sup>101</sup>, że i tak dużo pociechy ze mnie nie będą mieli. Otrzymałem papier w dobrze zamkniętej kopercie i miałem udać się do Rawicza do Arbeitsamtu. Do dziś nie wiem, jak się spakowałem, jak wyszedłem, czy o własnych siłach, czy ktoś był przy mnie. Zatrzymałem się dopiero przy budce dróżnika przed Rawiczem, nad torem kolejowym z Bojanowa do Rawicza. Dróżnik był Polakiem, znałem go. Pole owego Niemca przylegało do toru, a ja w tym miejscu doprowadziłem się do ludzkiego wyglądu. Dróżnicy uważali, że ja po prostu nawiałem. Coś niecoś i oni słyszeli o moim położeniu. Dopiero, gdy pokazałem im list, zrozumieli i postanowiliśmy go otworzyć. Nie wiadomo, co treść listu mogła znaczyć, mógł po prostu stanowić wysyłkę do Rzeszy lub coś znacznie gorszego. Na szczęście było to tylko powiadomienie, że jestem

---

<sup>100</sup> Prawdopodobnie chodzi o nazwisko Seiler. Wskazuje na to podana dalej spolszczona forma Sajler. Nie odnaleziono go w rejestrze mieszkańców Żylic. Zob. APL, zespół nr 34/62/0, Akta gminy Rawicz, sygn. 166 i 167.

<sup>101</sup> Właśc. Weigelów, zob. przyp. 91.

za słaby, nie znam się na pracy w gospodarstwie itd. Oddali mnie do dyspozycji Pośrednictwa Pracy. W Rawiczu na owym Pośrednictwie Pracy widziałem wszystko i wszystkich przez mgłę. Przytakiwałem, a po wyjściu ze skierowaniem, padłem na ulicy. Jacyś Polacy zabrali mnie do domu, wezwano polskiego lekarza i otrzymałem zwolnienie z pracy aż na trzy tygodnie. Byłem w jakimś polskim mieszkaniu. Polacy powiadomili ojca w Bojanowie, który już pod wieczór zabrał mnie do domu, gdzie była mama. Powrót do zdrowia był szybki. Miało się te dwadzieścia lat. Dwa lub może cztery dni przed świętami Bożego Narodzenia udałem się do Trzebosza<sup>102</sup>, ze skierowaniem na gospodarstwo Niemca, Otto Paschke<sup>103</sup>. Doznałem olśnienia, małe gospodarstwo, zaledwie czterohektarowe. Wszędzie porządek wylaźił z każdego kąta. Gospodarz oznajmił mi, że nie mieli przygotowanego dla mnie pomieszczenia, więc miałem się zgłosić po świętach. Ileż radości! Święta w domu! Jak wyglądało w domu? Najstarszy brat Jan podzielił mój los. Został również „knechtem”, i to w gospodarstwie owego Niemca Fuchsa w Tarchalinie, który mnie angażował do wyładunku lodu. Dobrze to było gospodarstwo, Niemcy spokojni, brat się nie skarżył. Drugi brat, Franciszek jako jeniec wojenny

---

<sup>102</sup> Trzebosz – wieś w pow. rawickim, w gm. Bojanowo.

<sup>103</sup> Otto Paschke, ur. 29 września 1887 r. w Trzeboszu, syn Roberta i Joanny z domu Schulz (w rejestrze mieszkańców Trzebosza jest adnotacja w języku polskim, że zaraz po wojnie został internowany). Jego żoną była Ida Helena Paschke, ur. 7 grudnia 1889 r. w Trzeboszu (w rejestrze jest adnotacja o jej ucieczce 30 stycznia 1945 r.). Ich syn Fritz Günther Paschke ur. się w Trzeboszu 20 marca 1920 r. Zob. APL, zespół nr 34/58/0, Akta gminy Bojanowo, sygn. 423, s. 86–87.

(piechur 55 pp Leszno) został wzięty do niewoli nad Bzurą. Przebywał na robotach niemieckich w miejscowości Bedra koło Lipska<sup>104</sup>. Wychodzili na prace do majątku. Pisał regularnie, nie skarżył się. Uważał, że inni trafili znacznie gorzej. Starsza siostra Maria przydzielona jako pokojówka w majątku Gierłachowo<sup>105</sup> koło Bojanowa. Urządziła się w towarzystwie innych Polaków, kasjera, księgowego, ogrodnika i podwórzowego. Podobna „paczka”, do której ja należałem w Sowinach. Rządca owego majątku był przesiedlony z Łotwy. Zapalony myśliwy, razem z żoną nie mieli specjalnych wymagań, do Polaków byli ustosunkowani zupełnie dobrze. Z opowiadań siostry wiem tylko tyle, że wybierali się jednokonką, na którą zabierali dwa myśliwskie psy spaniele, w kobiałki brali jedzenie i na cały dzień wymykali się do okolicznych lasów. Wracali wieczorami. Młodsza siostra Irena dochodziła do pracy do bojanowskich Niemców jako pomoc dla dzieci. Mama nadal pracowała na swoim „Singerze”. Zawsze miała masę do szycia. Ojciec pracował cały czas w gazowni miejskiej. O strzelcu z bojanowskiego Rynku, Kudelce, który strzelał w okna do Niemców, wszelki słuch zaginął. Znikł wraz z wejściem Niemców do Bojanowa i nikt go już nie widział. Ojciec też nie chciał mi powiedzieć, co się z nim stało, kiedy natarczywie go podpytywałem. Odpowiadał mi tylko, że nie moja sprawa, że mam swoje kłopoty. Stefana na pewno zlikwidowali Niemcy, a dla zmylenia oczu rozpoczę-

---

<sup>104</sup> Bedra – obecnie dzielnica miasta Braunsbedra, leżącego ok. 35 km od Lipska.

<sup>105</sup> Gierłachowo – wieś w pow. rawickim, w gm. Bojanowo.

li poszukiwania. Teza możliwa do przyjęcia, lecz coś w tym nie pasowało, coś było niejasnego.

Istotnie, miałem swoje sprawy. Pod koniec grudnia udałem się do Trzebosza, w której to wsi wytrwałem do 20 grudnia 1944 roku. Tu zupełnie inna atmosfera. Bez uprzedzeń do mnie, nawet jakby z przychylnym nastawieniem. Syn Ottona Paschke, Frytz<sup>106</sup> chodził do szkoły w Bojanowie od piątej do siódmej klasy. Znałem go mniej jak bojanowskich Niemców, ponieważ po lekcjach siadał na rower i dojeżdżał do Trzebosza i odwrotnie. Dopiero na miejscu dowiedziałem się, że był jedynakiem i przysłowiowym oczkiem w głowie swojej mamy, a obecnie mojej szefowej, Idy Paschke. Przebywał w Berlinie służąc przy artylerii przeciwlotniczej w randze porucznika i nie miał szans na wschodni front, ponieważ jego ciocia, a siostra mojej szefowej o nazwisku Karph, posiadała w Berlinie wielkie rzeźnictwo. Frytz korzystał z tej okazji pod pretekstem obrony stolicy Trzeciej Rzeszy. Często przybywał na gospodarstwo mamy i taty do Trzebosza po wałówkę w celu zabezpieczania przed wyjazdem na wschód. Przypomniałem go sobie, wyszedł z dworca bojanowskiego, dobrze zbudowany, odkarmiony porucznik artylerii, na którego czekał powózką obecny knecht-parobek. On, władca świata, oficer Wehrmachtu, a ja – jego podwładny. W drodze do Trzebosza jakoś mętnie tłumaczył mi, że po ukończeniu szkoły powszechnej udał się na wakacje do swojej cioci w Berlinie, ale nie wrócił. Uczył się rzemio-

---

<sup>106</sup> Właśc. Fritz. Zob. przyp. 103.

Nr. porządkowy	a) NAZWISKO dla następstwa nazwisko panieńskie oraz z poprzedniego (ich) małżeństwa (ów)		b) IMIENIA (kolejność i porządek imion według metryki urodzenia)		c) Data urodzenia, b) Miejsce urodze- nia (miejscowość, gmina, powiat wyjątkowo kraj)	Zemście w charakterze lokatora głów- nego, celnika rolniczego, suble- katy, grawa- torstwa	Zawód i stano- wisko w zawo- dzie, stanowiące główne źródło utrzymania	Wymiar (według metryki)	Stan cywilny i data ślubu z małżonkiem oraz data i miejsce rozwiązania od- porządzenia	Stosunek do powołan- ego obywatela wojskowego: a) stopień wojskowy, b) Nr gł. w. pow. lub oficerski wgl. Nr 10 w. pow. (według tab. 10 rozpr.)
	1	2	3	4						
1	a) Paschke	Robert	a) 28 stycznia 1887	b) Trzebosz	aktor	rolnik	aktor	aktor	aktor	aktor
	b) Otto Pawel	Joanna								
2	a) Paschke	Gustaw	a) 28 stycznia 1887	b) Trzebosz	aktor	aktor	aktor	aktor	aktor	aktor
	b) Ida Helena	Joanna								
3	a) Paschke	Ida	a) 28 stycznia 1887	b) Trzebosz	aktor	aktor	aktor	aktor	aktor	aktor
	b) Fritz Gustav	Ida								
4	a) Paschke	Gustav	a) 28 stycznia 1887	b) Trzebosz	aktor	aktor	aktor	aktor	aktor	aktor
	b) Joanna	Ida								

22. Wpis w księdze mieszkańców miejscowości Trzebosz dotyczący rodziny Otto i Idy Paschke

APL, zespół nr 34/58/0, Akta gminy Bojanowo, sygn. 423, s. 86

sła masarskiego. Wkrótce porzucił tę naukę i przez Hitlerjugend wstąpił na ochotnika do Wehrmachtu, a dziś ma stopień porucznika. Z jego długiej relacji wynikało, że nie jest nazistą. Jak się później okazało, pozostał „wewnątrz” wiejskim chłopakiem z Trzebosza, który nie miał specjalnych pretensji do byłego kolegi z ławy szkolnej. Najważniejsze w tym wszystkim było to, że pan oficer nie palił. Papierosy i cygarетки przywoził obficie i owo „palenie” często trafiało do mnie za dobre prowadzenie gospodarstwa. Za wzorową opiekę nad końmi. Kiedy Frycek pociągnął sobie zbyt wiele koniaczku, przychodził do stajni i cieszył się swoimi końmi pod moją opieką. Wkrótce gospodarstwo z czterech hektarów powiększyło się o 21 hektarów. Okupant, mając na uwadze coraz większą ilość plonów, a dysponując taną siłą roboczą (jaką my wtedy byliśmy), powiększał indywidualne gospodarstwa przydzielając ziemię z majątków. Propozycje takie były możliwe do przeprowadzenia, ponieważ z gospodarstwem Paschkego sąsiadowa-

ły zabudowania byłej karczmy – zajazdu starego Niemca Kubicke<sup>107</sup>, który w wieku około 80 lat był na emeryturze. Do prowadzenia swojego gospodarstwa i opieki posiadał polską służącą, pannę Teresę Kauch, późniejszą moją żonę.

Rozbudowa gospodarstwa nastąpiła przez zabranie zabudowań starego zajazdu z odpowiednim przerobieniem na stajnię, oborę i chlewnię i duży, jak na owe czasy kurnik na około 300 sztuk ptactwa. Pracy było naprawdę bardzo dużo. Byłem jednak w swoim żywiole, wszędzie panowała wzorowa czystość i porządek. Nowy gospodarz, Niemiec specjalnie nie kwapił się do pracy, a po jakimś czasie, gdy gospodarstwo „przechodziło” w moje ręce, zastosował się do twierdzenia, że pańskie oko konia tuczy. Brak zainteresowania gospodarowaniem leżał też po stronie jego zainteresowań, był muzykiem amatorem i na skrzypcach potrafił zagrać całkiem przyzwoicie. Zapisał się do jakiejś związkowej orkiestry w Bojanowie i dwa razy w tygodniu udawał się na próby orkiestry. Później dojeżdżał też do Rawicza. A że skrzypek musi mieć delikatne i nie zgwałcone pracą ręce, kombinował różne udogodnienia w gospodarstwie. Temu oczywiście wiernie sekundowałem, ponieważ wychodziło to na moje dobro, lżejszą pracę. Byłem pierwszym knechtem, ponieważ oprócz mnie w gospodarstwie tym pracował jeszcze jeden chłopak, który był do krów, nazwiskiem P. R.

---

<sup>107</sup> Właśc. Gustaw Karol Kobilke, ur. w Trzeboszu 14 października 1858 r. Przed wojną służyła u niego siostra Teresy Kauch – Gertruda. Zob. APL, zespół nr 34/58/0, Akta gminy Bojanowo, sygn. 423, s. 84–85.



Pochodził z małego miasteczka w byłym powiecie rawickim, w którym po okupacji przez długie lata pełnił funkcję przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej. Były też dwie dziewczyny z Gierłachowa koło Bojanowa, Monika N. i Elżbieta Sz. Na gospodarstwie był jeden konik, później gospodarz dokupił jeszcze dwa – młode sześciolatnie klacze i czwarte go konia ja „zakupiłem”. Jak to się odbyło? W majątku Trzebosz pętał się w opłotkach dworskich młody, silny, dobry koń, maści siwej, który po jakimś tam skaleczeniu prawej tylnej nogi nad pęcina, zaniebdany przez fernali, przeznaczony był faktycznie „do ubytku”. Kilkakrotnie zupełnie przypadkowo oglądałem owo skaleczenie. Byłem pewien, że to nic groźnego, po prostu zaniedbanie i dziwna niechęć fernali dworskich do tego konia, który podobno według ich relacji, był bardzo oporny w pracy. W Bojanowie urzędował weterynarz-Polak, Zygmunt Kozłowski, którego przy okazji szczepienia świń zapytałem o konia. Potwierdził moje przypuszczenia, że to nic groźnego. Należy jedynie konia otoczyć opieką. Przekazałem to szefowi i transakcja dokonała się. Weterynarz zapisał różne medykamenty, a ja przystąpiłem do kuracji. Dobre to zwierzę poddawało się myciu chorej nogi. Wstawiałem ją do wiadra, przemywałem, zawiązywałem szmatami nawilżonymi maściami przepisаныmi przez weterynarza. Po upływie może trzech tygodni rana pękła, z której wypłynęła nagromadzona materia. Po kolejnych dwóch tygodniach rana zagoiła się i konisko wróciło do pełnej zdolności. Po wygojeniu się rany konisko przez dwa, trzy miesiące chodziło bez podków. Później kochanego Siwka podkuto

i koń był w pełni sił do pracy. Nie wiedziałem jeszcze, że to konisko będzie w przyszłości miało tragiczny wpływ na moje życie.

Mój autorytet spowodowany wyleczeniem Siwka bardzo zwyżkował. Teraz już od czasu do czasu i szef pozostawiał w stajni na skrzyni z obrokiem paczkę papierosów. Za te papierosy nabyłem bardzo ekonomiczną w spalaniu lampę naftową. W przebudowanym gospodarstwie przydzielono mi za stajnię małe pomieszczenie ( $3.5 \times 3.5$  metra) z oknem wychodzącym na tzw. ogrody, przyległe pole za zabudowaniami. Było to bardzo korzystne, bo zimowymi wieczorami przy znalezionym piecyku mogłem czytać i pisać swoje gospodarskie notatki. Uważałem, że po wojnie w moim zawodzie będą przydatne. Drewna do palenia nie brakowało, bo przy mojej dobrej i mądrej kombinacji skrzętnie magazynowałem każdy kawałek zdobyty podczas przebudowy gospodarstwa. Z czytaniem było kruch, bo nie było od kogo książek pożyczać. W Bojanowie naszych profesorów nie było, nie wrócili tu, bo i po co? Księża wywiezieni, proboszcz Alfons Stanek<sup>108</sup> zginął w Dachau. Drugi ksiądz, wikariusz gdzieś się zapodział. Już nikt nie dowiedział się o nim. Robotnicy majątkowi nie posiadali książek, a w całej wsi Trzebosz na 56 numerów było tylko dwóch polskich gospodarzy, Franciszek Jagodzik (przedwojenny i powojenny

---

<sup>108</sup> Ks. Alfons Stanek (Stannek) żył w latach 1894–1943. Od 1932 r. był proboszczem parafii w Gołaszynie. Na stronie internetowej dotyczącej martyrologii księży, jako miejsce jego śmierci podano Poznań. <http://www.swzygmunt.knc.pl/MARTYROLOGIUM/POLISHRELIGIOUS/vPOLISH/HTMs/POLISHRELIGIOUSmartyr2565> (dostęp: 3.10.2020).

długoletni sołtys)<sup>109</sup> i drugi mały gospodarz Maciej Kowalski<sup>110</sup>. Jeden gospodarował na pięciu, drugi zaledwie na siedmiu hektarach. Pozostali gospodarze-Niemcy posiadali duże gospodarstwa, od 10 do 35 hektarów. Byli to „biedni” Niemcy, niszczeni przez Polaków, pozbawieni swobód obywatelskich, a mający dosłownie wszystko. Nawet własny protestancki zbór w Bojanowie, piękny, murowany, który dziś służy wiernym w Panu mieszkańcom Bojanowa.

Murowane zabudowania, dobra ziemia, duży stan inwentarza i dużo taniej siły roboczej w postaci nas Polaków, knechtów i dziewczyn – było nas około dziewięćdziesięciu, nie licząc pracowników majątkowych Górnego i Dolnego Dworu, własności hrabiów Czartoryskich, którymi władały tylko dwie siostry, stare panny oraz brat „hrabia – głupi Józiu”. Jakiś chłoptys urodzony bodajże z bardzo bliskiego pokrewieństwa. Według opowiadań owych dworskich ludzi, hrabia – głupi Józiu często wędrował po wsi i po jej opłotkach, zaczepiając dziewczyny, a często i mężatki, ofiarując za „spotkanie” w pobliskim lasku piękną, jak na owe czasy, laleczkę, która oczka zamykała, nie chcąc widzieć poczynañ właściciela. Może, a jak „wieść gminna” głosiła, tych laleczek można było spotkać kilkanaście w domach dworskich ludzi, a niejedno dziecko dworskie posiadało

---

<sup>109</sup> Franciszek Jagodziki (syn Szymona i Michaliny z domu Piasna) ur. się 28 stycznia 1894 r. w Siekowie, pow. Gostyń. W Trzeboszu mieszkał od maja 1920 r. Zob. APL, zespół nr 34/58/0, Akta gminy Bojanowo, sygn. 423, s. 60–61.

<sup>110</sup> Raczej chodzi o Mikołaja Kowalskiego (syna Macieja), ur. 5 grudnia 1900 r. w Izbicach, pow. Rawicz, zamieszkałego w Trzeboszu od 1926 r. Jego żoną była Antonina, ur. 16 maja 1900 r. Zob. APL, zespół nr 34/58/0, Akta gminy Bojanowo, sygn. 423, s. 66–67.

w żyłach hrabiowską błękitną krew. Gdy nas, robotników-parobków i dziewczyn było tak dużo w jednej wiosce, jak wyglądało nasze życie towarzyskie i koleżeńskie? Jaka więc współdziałania? Pomoc wzajemna? Zналиśmy się tylko naprawdę z widzenia, nie było czasu, nie było okazji na spotkania koleżeńskie, a tym więcej tego rygoru w sensie godziny policyjnej stosowano do nas Polaków po wypadku, który spowodował synalek jednego z niemieckich gospodarzy. Przyjechał ów drań na urlop przed wyjazdem na front wschodni, a w obawie przed „Iwanem” zabił jednego z naszych chłopaków. Wywabił go za stodołę, jakoby po siano lub słomę, przebił chłopaka widłami, a sam postrzelił sobie prawą dłoń. Tłuma- czył potem, że zabił w samoobronie przed atakiem Polaka. Czyste bzdury i nonsens tym więcej, że ów zamordowany chłopak był pracownikiem spokoj- nym, cichym, pracowitym, któremu przez myśl by nie przyszło rzucić się na Niemca. Spędzili nas wszystkich do jednej stodoły, przesłuchiwali w ko- lejności w mieszkaniu sołtysa i w następny dzień powypuszczali do pracy. Dowiedziałem się znacznie później, że ów morderca-żołnierz skończył jako sa- mobójca, wieszając się na kratkach celi w więzieniu wojskowym we Wrocławiu, po tym, jak Sąd Wojsko- wy stwierdził, że wersja „samoobrony” przed Pola- kiem była zmyślona. Na podstawie badań ekspertów wojskowych w odniesieniu do faktu postrzelenia sobie dłoni.

Inny, ale podobny wypadek miał miejsce na przejeździe kolejowym w wiosce Pakówka<sup>111</sup>. Kazeł

---

<sup>111</sup> Pakówka – osada w gm. Bojanowo.

Kaźmierski, wnuk stolarza Macieja Fiałkowskiego, zabitego w pierwszych dniach września w Bojanowie<sup>112</sup>, wracał późną nocą od dziewczyny z Bojanowa przez Pakówkę do Trzebosza. Nie wiedział biedak, że właśnie owej nocy cały odcinek toru od Bojanowa do Rawicza był obstawiony żołnierzami. Co pięćdziesiąt metrów stał żołnierz jako obstawa toru podczas przejazdu samego Adolfa Hitlera z Wrocławia do Poznania. Nie zatrzymał się na wezwanie i zaczął uciekać. Seria z pistoletu maszynowego przecięła mu nić życia. Gdyby się zatrzymał, być może skończyłoby się na dobrym laniu, a tak – życie młodego chłopaka skończyło się zbyt wcześnie. Po wypadku zamordowania polskiego knechta nasza i tak już ograniczona wolność stała się po prostu więzieniem w jednej wiosce. Przez okres sześciu lub siedmiu tygodni nie było nam wolno nawet udać się do rodziców, w moim przypadku do Bojanowa. Pomimo tych wszystkich przeszkód i trudności, młodość miała swoje prawa. Nie mogliśmy robić tego w gospodarstwach, lecz będąc w polu śpiewało się i inni śpiewali, lecz co śpiewać? Zwracali się do mnie, jak to zorganizować? Rozpocząłem po prostu przepisywanie polskich piosenek i takich, które znałem na pamięć, jak i o *Wielkopolskim harcerzu* stojącym samotnie w ciemną noc na warcie, jak *Witaj, majowa jutrzeńko*, *świeć naszej polskiej krainie*, *Za pasem broń...* i naturalnie jeszcze aktualne w owe czasy *Legiony to żołnierska nuta, to straceńców los*<sup>113</sup>. Przepisywało się

---

<sup>112</sup> Informacja błędna, zob. przyp. 15.

<sup>113</sup> Autor błędnie przytoczył fragment pierwszej zwrotki patriotycznej pieśni „Pierwsza Brygada”, gdyż powinno być: *Legiony*

kopiiowym ołówkiem, papier jeszcze można było kupić. Był to papier listowy, z czasem znalazły się i dziewczyny, które pomogły przepisywać. Pamiętam takie piosenki lub szlagiery przedwojenne, jak *Ramona*, *Och*<sup>114</sup> *jak przyjemnie*, jak również początki *Pana Tadeusza – Litwo, ojczyzno moja...*, lub *Śmierć pułkownika*, *Redutę Ordona* i to wszystko, co w tych czasach spływało z pamięcią dobrych, wolnych czasów. Miałem dostęp do niemieckich gazet. Pan Perlikowski<sup>115</sup>, znajomy listonosz z Bojanowa przywoził dla mnie oddzielny egzemplarz w zamian za papieirosika. Uczyłem się czytać o strategicznych działaniach na froncie wschodnim, o z góry zaplanowanych nowych pozycjach wyjściowych – bredniach, gdy wielka niezwyciężona armia Adolfa otrzymywała ciągi jedne lepsze od drugich.

Konspiracji ani podziemia na naszym terenie nie było. Nie było też żadnej prasy podziemnej, gazetek, ulotek. Prowadziliśmy prawie wszyscy obszerną korespondencję – brat Franciszek w niewoli jenieckiej koło Lipska, owa ogrodniczka Wacka z Sowin znalazła się na pracach przymusowych blisko Hamburga<sup>116</sup>, dobry i serdeczny kolega z ławy szkolnej Tadek Walkowiak również jako parobek w okolicach Trzebnicy<sup>117</sup> i wielu innych rozrzuco-

---

*to żołnierska nuta, / Legiony to ofiarny stos. / Legiony to straceńcza buta, / Legiony to straceńców los.*

<sup>114</sup> Właśc.: Ach.

<sup>115</sup> Chodzi o Wiktora Perlikowskiego, ur. 15 listopada 1902 r. w Książkowie (pow. Kępno), zamieszkałego w Bojanowie od 5 maja 1936 r. Zob. APL, zespół 34/13/0, Akta miasta Bojanowo, sygn. 107, s. 496–497.

<sup>116</sup> Hamburg – miasto w północnych Niemczech.

<sup>117</sup> Trzebnica – miasto w woj. dolnośląskim, przed 1945 r. w granicach Niemiec.

nych po kraju i olbrzymiej Trzeciej Rzeszy. Cenzury w naszych listach chyba Niemcy nie stosowali. Jedyne raz otrzymany od brata list nosił ślady otwarcia, lecz brat o niczym ważnym w tym liście nie pisał. We wszystkich listach z wszystkich stron zawsze między wierszami znalazły się słowa „to już niedługo”, że „koniec jest bliski” i „należy za wszelką cenę przetrzymać i dotrwać”. Najwięcej radości, a zarazem smutku sprawiały listy Wacki spod Hamburga. Pracowała w kuchni w polskim obozie pracy. Zajęcia nie były męczące, ale groźba zagłady przez stałe bombardowanie przez aliantów olbrzymiego Hamburga mogła spowodować, że każdy list mógł być ostatni. A Wacka potrafiła cudnie pisać, kiedy to kochanie pisało? Z listów wynikało, że znów przerwa w pisaniu, że znów nalot, alarm, że znów bombardowano w dzień i w noc. Doszło do tego, że Polacy z owego obozu pracy nie uciekali w czasie alarmów do schronów, lecz gdy niemiecka straż chowała się w przysłowiową mysia dziurę, Polacy uciekali w gołę, czyste pole, aby obserwować burzę ognia nad Hamburgiem. Dziwnie jakoś, bo aż do zakończenia bombardowań ani jedna bomba nie padła na polski obóz. Owe „zwycięstwa” na froncie wschodnim odbijały się również na zachowaniu się gospodarzy. Szczególnie miało to miejsce zawsze po wyjeździe synka do Berlina. Synek najwidoczniej otwierał oczy rodzicom, przedstawiając im groźbę położenia i pewność przegranej wojny. Moja znajomość z gospodynią starego karczmarza, panią Terenią stawała się coraz to bardziej zażyła. W końcu powiedzieliśmy „naszym” Niemcom, że ewentualnie po wojnie mamy zamiar się pobrać. Mieliśmy swobodę, prawie

jak małżeństwo, naturalnie bez wiedzy ówczesnych władz wiejskich.

Papierosy i tytoń napływały z trzech stron – od gospodarza, gospodyni i owego synka-oficera. Dlaczego od gospodyni? W owym czasie Niemka ta w latach 1935–40 była kobietą naprawdę ładną, miłą i kobiecą. Prowadziła tryb życia „trochę luźny”, po prostu mąż nie wystarczał, miała sympatię w osobie sołtysa Asta<sup>118</sup>, budowniczego Schilka z Bojanowa<sup>119</sup> i jakiegoś sędziego także z Bojanowa. Najbliżej był ów sołtys, przez miedzę. Dlatego też jego obecność u szefowej była najczęstsza i zawsze pewna, kiedy gospodarz udawał się na lekcje orkiestry do Bojanowa lub Rawicza. Dość często też wyjeżdżał na kilka dni do Berlina. Dziwne było, że gdy mama tak głośno afiszowała swą miłość matczyną do synka, sama nie jeździła do Berlina.

Tak się znów dziwnie złożyło, że „musiałem” widzieć wychodzącego nad ranem sołtysa, i to oknem, które wychodziło na wprost okna stajni, gdzie przebywałem bardzo wcześnie. Gdy nocny gość był na bezpiecznej odległości, do stajni przychodziła gospodyni, często rozmarzona, może niedopieczona, siadała na skrzyni z obrokiem i rozpoczynała swoje zwierzenia i opowiadania. Wielokrotnie mówiła chyba do siebie samej, gdy ja w tym czasie skrzętnie czyściłem moje szkapę. Narzekała na trudności z mężem i tym podobne historyjki. Na początku jej

---

<sup>118</sup> Zapewne chodzi o Gustawa Asta, ur. w Trzeboszu 21 września 1875 r., gdyż w rejestrze mieszkańców Trzebosza innego Asta nie ma. Zob. APL, zespół nr 34/580, Akta gminy Bojanowo, sygn. 423, s. 26.

<sup>119</sup> Nie udało się odnaleźć informacji o tym budowniczym.



zwierzenia wydawały się prowokacją, lecz z czasem stały się po prostu „amorami” w stosunku do mnie. Któż mógł przewidzieć, co szalonej głowie wypadnie uczynić? Nie trudno było przewidzieć, jakie skutki mogą wynikać ze zbliżenia Polaka do Niemki lub odwrotnie. Był taki przypadek w Zaborowicach<sup>120</sup>. Polaka z miejsca odesłano do Oświęcimia, skąd nie powrócił, a Niemce tak życie utrudniono, że sama się powiesiła.

Pewnego razu zupełnie otwarcie zapytała mnie po polsku (mówiła płynnie), czy nie jest lepiej zbudowana od Tereni. Twierdziła, że na pewno ma od niej więcej doświadczenia. Dostałem takiego stracha przed jakimś wyczynem z jej strony, że po radzie z Terenią, przy następnej wizycie szefowej w stajni zapewniłem ją, że wszyscy twierdzą, iż jest ładną, atrakcyjną kobietą, stworzoną do miłości, ale musi pamiętać, że jest Niemką, a ja Polakiem i gdyby ktoś wyszedł, że tak często i wcześniej przebywa w stajni, bylibyśmy oboje zgubieni. Nikt z Niemców nie uwierzyłby, że przychodzi na jakieś tam pogaduszki z Polakiem. Ludzie we wsi już mówią o jej romansach, bo wiem od innych Polaków, którzy posłyszeli, jak o takich sprawach rozmawiali Niemcy między sobą. Ta rozmowa ją wystraszyła i powstrzymała w pewnym kierunku. Do stajni jednak jeszcze przychodziła, choć już nie tak często i nie o tak wczesnej porze. Jediną pozytywną stroną tych jej zwierzeń i opowiadań w stajni był fakt, iż przynosiła mi papierosy, a w obawie przed mężem

---

<sup>120</sup> Zaborowice – wieś w gm. Bojanowo.

i synem sama paliła, pozostawiając resztę na skrzyni naumyślnie, niby przez zapomnienie. Uznałem to za przekupstwo w zamian za moje milczenie i zapomnienie tego, co od niej usłyszałem. Przecież wystarczyłoby, gdyby kazała mi milczeć do grobowej deski. A więc papierosy, towar wymienny. Tereń często jechała rowerem do Bojanowa po zakupy, знаła tam wielu Polaków, papieros był najlepszym „bezgotówkowym” materiałem wymiennym. Za papierosy mieliśmy wszystko, co można było w owych czasach otrzymać, wyhandlować. Mam tu na uwadze takie asortymenty, jak odzież damska i męska, obuwie (dla Polaków obuwie było tylko na drewnianej podeszwie), artykuły przemysłowe oraz lepsze mydło i proszek. Nawet wśród „wiernych” Adolfowi Niemców można było potargować. W naszym przypadku jedzenie nie wchodziło w rachubę, bo zbudowany został kurnik na trzysta niosek, a kto byłby w stanie doliczyć się tak wrzeszczącej i hałaśliwej zgrai? Gdy kochane nioski rozpoczęły „nosić się”, to znów nie było problemu z podbieraniem jajek, ponieważ klucz do kurnika miałem pierwszy od gospodarza, bo kurnik stawiali polscy robotnicy. Gdy kurki doszły już do „nośności”, jako pierwszy je odwiedzałem, a przy ilości ponad 200 sztuk, odebranie 10 lub 15 jajek nie stanowiło żadnego problemu. Kłopot pojawił się zupełnie inny. Opieka i prowadzenie gospodarstwa domowego niewidomego i starego człowieka (ponad 80 lat) nie była ciężka, ale odpowiedzialna. Starego karczmarza znało wielu Niemców w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Odwiedzały go różne osobistości. Niewidomy i z ob-

jawami sklerozy staruszek nie zdawał sobie sprawy z czasów, w których kończył swój żywot. Chciał żyć, przyjmować i gościć swoich znajomków po dawnemu. Pieniądze miał, ale nie było zaopatrzenia, o którym marzył. Obwinił pannę Teresę, że nie umie gospodarzyć i jest przez nią okradany. Sprawa doszła do policji. Przyjechali raz i drugi. Stwierdzili wzorowy porządek, czystość i to wszystko, co można było w owych czasach nabyć na kartki oraz trochę jeszcze „poza” kartkami. Wyjaśnień udzielała moja szefowa, która otrzymała polecenie kontrolowania Polki w prowadzeniu gospodarstwa domowego. Nie było żadnego zaniedbania w odniesieniu do wstrętnego starucha, żadnego okradania. Pozostało wszystko po staremu. Staremu karczmarzowi przy kolejnym donosie ze strony jakiegoś „życzliwego Niemca” policjanci wytłumaczyli po swojemu, że przy kolejnym fałszywym zgłoszeniu poczynią starania, by to karczmarz otrzymał skierowanie do domu starców. Tego najbardziej obawiał się karczmarz i sprawy pozostały po dawnemu. Papieroski „robiły” swoje. Zorganizowaną naftę również przechowywała Terenia. Jednym słowem, spotkały się dwie pokrewne dusze, które rozpoczęły spiskować, kombinować, szkodzić Szwabom, jak tylko było to możliwe.

Jedna sprawa to podbieranie jajek z kurnika, następna operacja miała swoje zakończenie z podbieraniem kurek. Gdzieś musiałem te zdobycze przechowywać. U mnie było to niemożliwe, gdyż szef bardzo często, nawet wieczorami lubił wpadać do mnie ze swoim pomysłami racjonalizatorskimi. Apetyt wzrastał w miarę jedzenia. Kto to widział

jeść tylko jajka? Rozpoczęło się pieczenie i gotowanie smacznych rosołków i pieczeni. Znów coś z tego musiało podpadać karczmarzowi, bo gdy wzrok szwankował, to powonienie miał bardzo wyczułone, a pieczone lub gotowane kurki bardzo przyjemnie pachniały. W pewnym okresie nasza chlewnia otrzymała nowy zastrzyk nabytku w ilości 36 sztuk już dobrze odhodowanych prosiąt, miały około 20 i 25 kilogramów. Dlaczego taka dziwna liczba 36? Taka jakoś nie pasująca... jeden z owych prosiaczków po prostu „znikł”, zawsze było sztuk 35. Jak zabić takie boskie stworzonko, które przy pierwszym dotyku kwiczało na całą wieś? Potrzeba jest matką wynalazku... cienki łańcuszek na przyjemną szyjkę, przykręcany stopniowo patykiem, „kozik” w odpowiednim czasie i w odpowiednie miejsce zagłębiony w serduszek świński i... jak tu upiec lub ugotować? Zapachu będzie, oj będzie! Pozostała noc, mięso ułożone w weki i w kolejności konsumowane. Wszystko mało, w rupieciach karczmarza leżał stary, mały odbiornik radiowy, ale nie na chodzie. W pewną niedzielę przyjechał z Bojanowa kolega z przeróżnymi narzędziami i po kilku godzinach... bum, bum, bum... „mówi Londyn” i krzyczy wódz Adolf. Lecz gdzie zainstalować? Gdzie słuchać? Jedyne miejsce, gdzie szef nie wchodził, to nieduży stryszek nad stajnią, gdzie składowałem najlepsze siano dla koni. Podłoga stryszku nie była mocna i drabinka prowadząca na górę nie była też solidna. Dla mnie to była frajda, lecz szef bał się o swoje kości. Decyzja zapadła szybko – to było tylko to „miejsce”. Po kilku dniach aparacik wychwytywał fale z całego świata. Ale gdyby

na taki pomysł wpadli Niemcy podczas przeszukiwania czegoś? Jak zareagowaliby „moi” Niemcy? Na pewno byliby „prawdziwymi i oddanymi Niemcami”. Moment taki prawie że nastąpił. W pewne niedzielne popołudnie na podwórze zajechał samochód. Wysiedli z niego – budowniczy, oberwachmajster<sup>121</sup> i sędzia, wszyscy z Bojanowa oraz jeden nieznany mi nawet z widzenia, w czarnym mundurze. Nie weszli do mieszkania, tylko wywołali szefa z domu i skierowali się do stajni. W jej progu stałem razem z Terenią. Kiedy dochodzili do stajni, rozmawiali o wyłapaniu kilku Polaków w pobliżu Bojanowa, którzy posiadali radioodbiorniki. Skóra nam ścierpła, czułem strużkę potu spływającą po plecach. Na widok Tereni budowniczy zaczął żartować i pleść głupstwa, mężczyzna w czarnym mundurze dziwnie na mnie spojrzał, czyżby to podstęp? Pułapka? Wtedy Teresa stwierdziła, że nie będzie nam przeszkadzać, weźmie tylko trochę siana dla królików, bo gospodyni zezwoliła. Po chwili Terenia zeszła z pełnym fartuchem siana, a mijając budowniczego dostała od niego klapnięcie w pupę. Mijając zahaczyła mnie łokciem, dając do zrozumienia, że radio miała w sianie, które niosła w fartuchu. Szkopy przyjechały, bo policji spodobała się moja „wychowanica” – śliczna, gniada klaczka, Greta.

Po tym incydencie mieliśmy dość, na kilka tygodni przerwaliśmy słuchanie. Takie i inne sprawy wiążą ze sobą ludzi, zespalają. Dochodzi do tego, że faktycznie ja „rządzę” gospodarstwem, szef w ogóle

---

<sup>121</sup> Niem. *Oberwachtmeister* – starszy wachmistrz.

nie wtrąca się w żadne poważniejsze sprawy. Przyjeżdżający w odwiedziny porucznik-synałek umacnia ojca w przekonaniu, że wystarczy, jak „pańskie oko konia tuczy”. Jeśli tak, to dobrze.

Rozpaczynam gospodarowanie po swojemu. Punktualność – reguła: każda praca dobrze prze-myślana z wyprzedzeniem i stosowanymi przeze mnie zapiskami stricte gospodarczymi. Z prac polowych schodzimy o godzinę wcześniej od innych. Wszystko gra, jak w zegarku. Wszystkie prace polowe na czas skończone. Są żniwa, robimy wspólne omłoty. Trzech, czterech gospodarzy wzajemnie sobie pomagają podczas omłotów. To też mój pomysł podsunęty szefowi, który uznał za bardzo dobry i naturalnie za „swoj”. Omłotów dokonywała ekipa z Bojanowa, firma odpowiadająca dzisiejszemu GS-owi. Tu, na miejscu przy omłotach i odbiorze ziarna są robotnicy-Polacy z Bojanowa, którzy wiedzą, jak postępować. Z każdego wozu z ziarnem odstawionego do Bojanowa, jeden worek „idzie na lewo”, trafia do polskich „właściwych rąk” różnymi kanałami do młyna, na wiatraki lub wprost na żarna i przemiał. Dwa razy w miesiącu niemieccy gospodarze wzywani są do Bojanowa na narady robocze z udziałem przedstawicieli gminy i powiatu. W trakcie jednej z porad ktoś „życzliwy” mojemu szefowi w swoim wystąpieniu wskazał na szefa, że tenże „rozpuszcza służbę polską”, ponieważ wcześniej od innych schodzą z pola. Po powrocie z narady z Bojanowa szef przybywa do stajni, tam były nasze gospodarcze rozmowy, i relacjonuje przebieg takiej właśnie dyskusji skierowanej pod jego adre-

sem. Zrozumiałem, że może być źle. Mogą nastąpić przykrości. Szef-skrzypek nie mógł zrozumieć, że jeśli gospodarstwo dobrze prosperuje, na czas są wszystkie prace polowe zakończone i siła robocza ma więcej swobody i luzu to znaczy, że tej polskiej siły roboczej jest za dużo. Należy zmniejszyć o jedną dziewczynę lub parobka. Dlaczego Polacy mogą się obijać? Rozumowanie moje było słuszne, lecz szef uważał, że niech inni też tak pracują, jak my pracujemy, on pracował? Odzywka na naradzie została dobrze zrozumiana, zgodnie z moimi przewidywaniami. W kilka dni później mieliśmy „wizytację”. Wśród komisji było dwóch fachowców z powiatu z resortu rolnictwa. Po krótkiej rozmowie przeprowadzonej przez przybyłych fachowców, szef był „ugotowany”. Zdobył się na desperacki wybieg i stwierdził, że jego knecht wszystko wyjaśni, bo prowadzi swoje zapiski gospodarcze. Zostałem zawezwany i miałem wytłumaczyć, na czym polega nasze gospodarowanie, a zarazem pokazać owe zapiski, bo nie wierzyli słowom szefa. Spokojnie i fachowo, jak tylko potrafiłem, wyjaśniałem ich pytania. Przejrzeli moje notatki prowadzone systemem dziennika praktyk, a w związku z tym, że były po polsku, zabrali je ze sobą do ewentualnego tłumaczenia. Prowadziłem dziennik bardzo skrupulatnie, więc poza sprawami gospodarczymi nie było w nich nic więcej. Po dwóch dniach przyjechał synalek-porucznik na urlop. Kiedy mu zdałem relację ze spotkania, wpadł we wściekłość i pojechał do Rawicza. Na tyłach się dekują, wojny nie widzieli (on widział w rzeźnickim sklepie), rodzice harują, uczą Polaków, jak pracować, ażeby naród

i armia otrzymywała jedzenie, a tu takie historie. Wieczorem wrócił z Rawicza, zwrócił mój dziennik z uwagą, że nie należy tak postępować, ponieważ to irytuje innych. Należy dostosować godziny pracy do czasu innych gospodarzy. Później przyniósł do stajni kilka paczek papierosów i paczkę cygar, które otrzymał ojciec, bo papierosów nie palił.

Front wschodni zatrzymał się nad Wisłą. W Warszawie powstanie (sierpień 1944 rok). Dostępne dla mnie gazety niemieckie donoszą o polskich bandytach, o okrucieństwach stosowanych przez Polaków na Niemcach. My, tu w poznańskim byliśmy zupełnie bezradni i bez „prawdziwych” wiadomości. Związek Radziecki? Bolszewicy? Stalin? Oglądałem karykatury „SU”<sup>122</sup> w niemieckiej prasie, lecz miałem też mapki frontu wschodniego i „wycofywanie się na z góry oznaczone pozycje”, po pewnym okresie czasu powstanie zostało stłumione, Warszawa na rozkaz Adolfa zniknęła z mapy Europy, co to wszystko znaczy?

Radio znów uruchomione, pełne sprzecznych komunikatów i wiadomości. Po „rusku” nie rozumiemy, głośnie fanfary o zatrzymaniu frontu nad Wisłą, o przygotowaniu nowej ofensywy na wiosnę, o zatrzymaniu aliantów. Dla nas jeden galimatias. Na początku listopada szef został wcielony do Volkssturmu<sup>123</sup> (odpowiednik obrony narodowej).

---

<sup>122</sup> SU – skrót od Sowjetunion, niemieckiej nazwy Związku Radzieckiego.

<sup>123</sup> Volkssturm – formacja, która miała charakter pospolitego ruszenia. Hitler powołał ją dekretem z 25 września 1944 r. Jej członkowie często nie mieli umundurowania, byli słabo uzbrojeni.



Któregoś dnia po narodzie w Bojanowie przywiózł karabin i 5 naboí. Na co? Na kogo? Coś się stało?

Listopad – pierwsze dni bardzo ciepłe i łagodne. Przy drodze z Trzebosza do Bojanowa pozostał kawałek pola do zaorania. Po kilku nawrotach podczas orki zauważyłem od strony Bojanowa pędzącego czarnego mercedesa. Kiedy dobijałem końmi do drogi, samochód zatrzymał się i wyskoczyło z niego kilku „czarnych” – wszystko w biegu, zawsze im się spieszyło, w pełnym uzbrojeniu, w hełmach, z pistoletami skierowanymi we mnie. Dwóch zbliżyło się do mnie przeskakując rów. Dziwnie podejrzliwie rozglądali się wokół, jak przystało na „czarnych”, czyli SS<sup>124</sup>. Upewniwszy się, że nikogo nie było, jeden z nich wyjął mapę-sztabówkę i podsunął mi ją pod oczy. Zbaraniałem – sztabówka był polska. Widząc moją zdziwioną minę, zapytał po polsku, gdzie oni teraz są? Jakie miasteczko minęli i jaka to wioska – wskazując na Trzebosz, jak dojechać do Góry Śląskiej<sup>125</sup> oraz czy ja jestem Polakiem? Ręce i głos drżały mi do tego stopnia, że nie mogłem słowa wypowiedzieć. Kazali mi się uspokoić, zapewnili, że nic mi nie robią, chcą tylko, abym im wskazał drogę na mapie, jeśli tylko się znam. Jakże dobrze rozumiałem polską mapę, wskazałem, gdzie Bojanowo, przed nami Trzebosz, po prawej Zaborowice i dalej droga do Góry Śląskiej. Niemiec kazał wyciągnąć rękę, wepchnął mi dwie paczki „Juno Rund” i jeśli

---

<sup>124</sup> Schutzstaffel der NSDAP (skrót: SS) – niemiecka formacja nazistowska, w 1947 r. uznana za organizację zbrodnictw.

<sup>125</sup> Góra Śląska – miasto w woj. dolnośląskim, do 1945 r. w granicach Niemiec.

ktoś będzie pytał, mam powiedzieć, że SS pytało tylko o drogę do Góry Śląskiej, nie mam wspominać nic o polskiej mapie. Uśmiechnęli się i szybko wskoczyli do samochodu, który cały czas miał włączony silnik. Nikt mnie o nich nie pytał, lecz kim byli? Gdzie jechali, w jakiej misji? Dywersja? Dokąd i po co? Jeszcze jedna tajemnica II wojny światowej. Naturalnie podzieliłem się z moją Terenią sensacyjną i tajemniczą wiadomością. Przed sobą nie mieliśmy już żadnych tajemnic (moja spokrewniona dusza), a coraz więcej było wspólnych zwierzeń, marzeń, a zarazem trwogi przed końcem. Ów koniec miał znów wypaść zupełnie nie tak, jak w naszych planach, marzeniach i przewidywaniach. W pierwszej dekadzie grudnia rozpoczęliśmy „odstawę” buraka cukrowego do cukrowni w Miejskiej Górze<sup>126</sup>. Z pełnymi wozami jechaliśmy przez Bojanowo. Natomiast droga powrotna wiodła od Dąbrówki przez Pakówkę do Trzebosza. Na odcinku Rawicz – Bojanowo – Trzebosz miałem wspaniałe wspomnienia z przygody, która mimo swojego tragizmu zakończyła się dla wszystkich pomyślnie.

W styczniu tegoż roku pamiętam bardzo srogo, ale krótkotrwałą zimę. Szefowi wpadł do głowy pomysł wyjazdu samochodami do Rawicza przez Bojanowo, na wspomniane wcześniej lekcje orkiestry. W Bojanowie razem z budowniczym i policmajstrem dosiedliśmy do sań i udaliśmy się do Rawicza. Lekcje orkiestry odbywały się w lokalu Niemca Reichenbacha<sup>127</sup> przy obecnych Wałach Dąbrow-

---

<sup>126</sup> Miejska Górka – miasto w pow. rawickim.

<sup>127</sup> Tadeusz Kotłowski wśród właścicieli restauracji w Rawiczu

skiego – obecny sklep „Eldomu”, była tu dobra knajpa wyłącznie dla Niemców. W Rawiczu byliśmy około siedemnastej. Szef zapowiedział, że lekcja potrwa do godziny dwudziestej pierwszej. Mnie pozostało tylko siedzieć w saniach i przejeżdżać konie na odcinku od dzisiejszego Liceum Ogólnokształcącego do Szkoły Podstawowej Nr 3. Pierwsze dwie, trzy godziny nie stanowiły problemu. Następne – były problemem dla koni. Moje dwie młode kłaczki, wypoczęte w czasie zimy, zaczynały się niecierpliwie i marznąć. Mróz dochodził do minus 20 stopni. Moje wyposażenie furmana składało się z ciepłych, grubych kałesonów, dobrych wojskowych spodni otrzymanych od brata z jenieckiej pracy w Rzeszy, obuwia z drewnianą podeszwą, jakiś tam sweter, golf, ciepła kurtka i na to niezbyt długi kożuch po starym karczmarzu. Nie był on w najlepszym stanie, ale jakieś włosie od wewnątrz jeszcze było. Na głowie czapka z ciepłymi nausznikami. Mimo tego i mnie zimno zaczynało dokuczać, bo robiło się chłodno od wewnątrz. Gdzieś około dwudziestej, po ponownym nawrocie i przejeździe obok restauracji, wyszedł szef i podał mi butelkę „wzmocnionej” herbaty oraz około 20 dkg kielbasy i 2 skibki chleba zawinięte w papier. „Wzmocniona” herbata w butelce od piwa była dla mnie dobrym zastrzykiem przed zimnem. Ale cóż dla koni? Mijała godzina za godziną. Wyczuwałem, że moje szkapy zaczynają już porządnie grymasić, rzucały łbami, próbowały biec raz

---

w latach 30. XX w. wymienia W. Reichenbacha. Zob. *Rawicz. Zarys dziejów*, oprac. zbiorowe pod red. Stanisława Sierpowskiego, Poznań – Rawicz 2004, s. 231.

kłusem lub galopem. Wszystko to sprawiało, że i ja zaczynałem się denerwować. Jak długo jeszcze? Wreszcie około dwudziestej trzeciej gościnne podwoje restauracji „wypuściły” swoich gości. Wszyscy oczywiście na bańce ruszyli do sań. Wpakowało się sześciu. Trzech lub czterech znałem z widzenia, pozostałych dwóch, nie. Na moją niepewną minę i brak decyzji dokąd jechać, usłyszałem od szefa rozkaz: „na pełen gaz do Bojanowa”. Jak jechać, to jechać. Skręciłem na główny trakt i już pod koniec Sierakowa<sup>128</sup> rozpoczął się chóralny śpiew w saniach. Księżyc, gwiazdy, głęboka noc, a ta hałastrza coraz to głośniejsza „piała”. Kiedy dojeżdżałem do folwarku Białe Orzeł (dziś składowisko kamienia dla Rejonu Dróg Publicznych) już nie śpiewali, ale jeden przez drugiego po prostu wydzielali się na całe gardła. Mnie to nie przeszkadzało, ale konie były już mocno wystraszone. Wyczuwałem to po ich zachowaniu. Próbowaliśmy z kłusa przejść w galop, a było to bardzo niebezpieczne dla przeładowanych sań i na dość oblodzonej drodze. Dojeżdżając do Izbic<sup>129</sup>, usłyszałem głos szefa, który krzyczał mi do ucha, że mam pogonić konie, bo oni chcą szybkiej i kawalerskiej jazdy. No cóż, zaparłem się nogami w przednią deskę w saniach, lejce omotałem wokół dłoni, dwa lub trzy razy świsnąłem batem, popuściłem lekko lejce i... konie poszły w pełen galop. Śnieg, lód wyrzucany kopytami końskimi (konie podkuwane ostrymi hacelami) zaczął sypać się nie tylko na mnie, ale i na moich pasażerów. Fakt ten wprowadził ich w lepszy humor. Musieli

---

<sup>128</sup> Sierakowo – wieś w gm. Rawicz.

<sup>129</sup> Izbice – wieś w gm. Rawicz.

mieć dobrze w czubie, bo zaczęli pohukiwać, szaleć, krzyżeć i wrzeszczeć. To już nie była jazda, to nie była sanna, to był raczej szaleńczy bieg koni wypuszczonych luźno w pełen galop. Konie zaczynały sobie używać, przeczuwałem, że być może za chwilę nie będę w stanie ich pohamować. Zziębnięte, teraz zaczynały bowiem się rozgrzewać i brać, mówiąc w żargonie kawalerskim, na kiel. Nie miałem obaw o uprząż, była w dobrym stanie, zwłaszcza lejce. Nic tu pęknąć nie miało prawa. Jednak rozbrykane konie mogły odmówić posłuszeństwa. Kto ma rozeznanie w technice jazdy saniami, wie o tym, że dopóty konie biegną klusem, sanie równo, statycznie posuwają się po drodze. Wystarczy jednak, by konie przeszły w jakiś niekontrolowany galop, to z saniami dzieją się dziwne rzeczy. Rozpoczynają zwariowany taniec po drodze, rzucają z lewej na prawą i odwrotnie. Tak też się stało. Sanie zaczęły rzucać i łatwo było z nich wypaść. Mnie to nie groziło, bo ręce miałem zajęte lejcami, nogi zaparte o przednią deskę sań. Ale ci z tyłu? Na odcinku zagajnik a Golina Wielka<sup>130</sup>, pędząc jak wariat pozostałem sam w saniach. Całe rozhuczane i rozkrzyczane bractwo, będąc na dobrym „gazie” powypadało z sań. A że pijaka Pan Bóg strzeże, i tym Szwabom przy wypadku z sań nic się nie stało. Cóż miałem jednak wtedy robić? Zorientowałem się dopiero w czym rzecz, gdy już przeleciałem przez Golinę Wielką, jak baśniowy legendarny pojazd dzwoniący janczarami i dzwonkami umieszczonymi na grzbietach końskich. O za-

---

<sup>130</sup> Golina Wielka – wieś w gm. Bojanowo.

trzymaniu koni i powrotu po „zaginionych” nie mogłem nawet marzyć, bo konie „wzięły na kiel” i ni-  
jak je można było zatrzymać. Co robić? Na zakręcie  
z drogi w Gołaszynie w kierunku na Trzebosz po-  
myślałem, co zrobię, jeśli szlaban na przejeździe  
będzie opuszczony? Kiedy dojeżdżałem do majątku  
Gołaszyn, zacząłem poluzniać splątane lejce  
w dłoniach. Pomyślałem, że jeśli rzeczywiście szla-  
ban będzie opuszczony, to wyturlam się z sań. A ko-  
nie muszą skręcić w lewo do dworca. Jednak przy  
takiej prędkości, saniami mogło zarzucić i w efek-  
cie uderzyłyby w drzewo lub parkan, a ja z saniami  
w drobny maczek!

Na szczęście szlaban w górze. Ponownie usa-  
dawiam się mocno i „przyczepnie”. Teraz konie po-  
czuły własny, znany trakt, pędziły spokojniej. Tak  
dojechałem do Trzebosza. Szefowa nie spała, razem  
z Terenią czuwały i... co się stało? Gdzie jest szef?  
Dlaczego konie tak zajechane? Wychodzę z sań i sia-  
dam na ziemi, nogi odmówiły posłuszeństwa.  
Przy pomocy szefowej i Tereni wchodzę do staj-  
ni, ściągam wszystkie okrycia, łapię za papierosa,  
wyprzęgam konie, z których piana płatami opada,  
bucha z nich para, całe obłoki pary. Konie również,  
już teraz w obejściu formalnie drżą, ledwo stoją na  
nogach. Zaraz w stajni pierwsza czynność to kłębka-  
mi słomy wycieram boki końskie, raz to osuszanie  
z piany, drugie to zapobieżenie przeziębieniu i ja-  
kimś powikłaniem. Koń to bardzo delikatne stwo-  
rzenie w stosunku do człowieka. Koń nawet połowy  
przemęczenia lub przepracowania człowieka nie  
jest w stanie przetrzymać. Cóż mogło się stać z pasa-

żerami? Co tu robić? Szefowa zadecydowała, że należy iść spać i poczekać do rana, bo jakaś wiadomość musi nadejść. I słusznie, lecz jaka to będzie wiadomość? Czy Szwabiska wypadając ze snu, nie połamali sobie kości? Czy uwierzą, że konie poniosły? Czy uwierzą, że Polak nie miał zamiaru pozabijać Niemców? Godziny do rana wlokły się niesamowicie długo. Siedziałem z Terenią w stajni i nie mieliśmy słów, nie mieliśmy o czym mówić, bo na dobrą sprawę, mogła to być nasza ostatnia noc, ostatnie nasze widzenie się, spotkanie.

Po siódmej Terenia musiała iść do swoich zajęć, do stajni przyszedli kolejno pozostali służący. Dziewczyny płacząc, Terenia co parę minut wpada do stajni „i co – i nic”. Oknem widzę szefową, jak przechadza się po mieszkaniu, pali jednego papierosa za drugim. Światła w mieszkaniu nie gasną. Około godziny 9.30 zajeżdża samochód, chłopak pobiegł otworzyć bramę, auto zatrzymuje się na podwórzu. Nogi miałem jak z waty, musiałem podeprzeć się o ścianę, okulary zapocone, nic nie widzę. Drzwi stajni otwierają się, słyszę wesołe, rozbawione głosy. Czyżby naprawdę nic się nie wydarzyło? Usłyszałem wołanie szefa, wzywał mnie do siebie. Poszedłem jak na skazanie. Otoczyło mnie czterech, może pięciu z owej eskapady. Poklepali mnie po ramionach, a jeden stwierdził, że takiej kawaleryjskiej jazdy jeszcze nie przeżył. Pomyślałem w duchu: „ja też nie”. Budowniczycy wcisnął mi do kieszeni jakieś papierosy. Wszyscy ładują się do stajni z ciekawości, co z końmi? Odpowiedziałem, jak we śnie: „alles gut, alles gut...”. Sami zobaczyli, że konie są w porządku, już na dobre po-

wycierane, napasione i spokojne w ciepłej, własnej stajni. Wszyscy zadowoleni udali się do mieszkania na wódkę. Po ich wyjeździe szef przyszedł do stajni i opowiedział o całym zajściu. Gdy tak wszyscy darli się jeden przez drugiego, przyszło im do głowy, by wypróbować swoich sił i podczas przyjacielskiej szamotaniny wszyscy powypadali. Do Goliny było jeszcze kilkaset metrów. Pozbierali się i udali do kierownika gospodarstwa, skąd telefonicznie sprowadzili samochód z Bojanowa i przyjechali do Trzebosza. Tak skończyła się ich kawaleryjska jazda. A jak mogła się skończyć dla mnie?

W przypadające wolne popołudnia udawałem się na kilka godzin do rodziców w Bojanowie. Cóż tam się działo? Moich rówieśników zostało zaledwie kilku – jeden ślusarz, inny zaczepił się gdzieś u stolarza. Na wspomnienie zasługuje Maryś Piotrowiak<sup>131</sup> (późniejszy komendant Powiatowej Milicji Obywatelskiej w Turku), który zabrał się za fryzjerstwo w sklepie fryzjersko-tytoniowym (narożnik Rynku i ulicy 22 Stycznia). W okresie zimy, albo jeszcze jesieni otrzymywałem czasem zezwolenie na udanie się do „postrzyżyn” przydługawych włosów. Naturalnie zawsze szedłem do Marysia, który miał wydzielony koniec salonu fryzjerskiego, gdzie można było Polakom doprowadzać fryzury do porządku. Wtedy na strzyżenie i golenie przeznaczał kochany Maryś naprawdę bardzo dużo czasu, do tego stop-

---

<sup>131</sup> Marian Piotrowiak, ur. 26 stycznia 1922 r. w Rydzynie, zamieszkały w Bojanowie od 1933 r. (w rejestrze mieszkańców figuruje jako uczeń fryzjerski). Zob. APL, zespół nr 34/13/0, Akta miasta Bojanowo, sygn. 106, s. 319–320.



nia, że prawie zawsze zainteresowany „mistrz brzytwy” zjawiał się osobiście z zapytaniem, dlaczego to tak długo trwa? Ja, względnie Maryś wyjaśnialiśmy, że pracuję w gospodarstwie, gdzie jest dużo kurzu i brudu. Musi być i mycie głowy, strzyżenie, golenie (dużo na tej brodzie wtedy nie było). Niemczysko kiwało głową, ale zaznaczył, że należy dobrą opłatę pobrać. Płaciłem za takie zabiegi fryzjersko-kosmetyczne około sześciu marek. Było to okropnie dużo, lecz nie miało to większego znaczenia dla możliwości pogadania sobie, naturalnie szeptem.

Ile zarabiałem jako główny knecht? Moje pobory wynosiły 25 marek. Po odliczeniu „ubezpieczenia” i jeszcze jakiejś tam składki (nie wiedziałem, na co) otrzymywałem do ręki niepełne 23 marki. Dla porównania na dachach w Sowinach, gdy płacono nam od metra kwadratowego przełożonego dachu, moje wynagrodzenie sięgało 100 marek. Obecnie jednak byłem na pełnym wikcie z mieszkaniem i opraniem. Taka stawka musiała więc obowiązywać.

Drugi knecht – chłopak do krów otrzymywał około 15 marek, to samo dostawały dziewczyny. Cóż za te marki można było kupić? Wszystko było na kartki. Nasze żywnościowe kartki-przydziały otrzymywali Niemcy-gospodarze. Nam zostawały tylko kartki na papierosy. Przydział był w granicach trzech sztuk na tydzień. Były to papierosy marki „Tonga”, dłuższe o jedną trzecią od dzisiejszych „Popularnych” i odrobinę grubsze, ale tytoń był trzykroć silniejszy od przedwojennych „Machorkowych”. Takiego „Tonga” paliło się na trzy części, naturalnie w lufce. Tych szklanych drobiazgów było pod dostatkiem. Bodajże jedna lufka kosztowała 5 fenigów.

Zegarek na rękę marki „Ruhla” kosztował 6.5 marki, a za bransoletkę ni to niklową trzeba było zapłacić 5.5 marki. Te zegarki były dobre, chodziły do czasu, gdy uległy awarii. Mój „Ruhla” służył wier- nie do 1952 roku.

Rozpytywałem się w domu, co stało się z owym „wolnym strzelcem” z pierwszego dnia wojny, Stefa- nem Kudelką<sup>132</sup>? Oto, co usłyszałem od ojca. Kiedy Niemcy wkroczyli do Bojanowa, w kolejne tygodnie następowały poszukiwania i przesłuchiwanie Pola- ków w celu ustalenia, gdzie zapodział się ów „ban- dita”. Przesłuchano całą masę Polaków i Niemców. Nachodzono matkę Stefana, mieszkającą w małym parterowym domku naprzeciw bramy wejściowej do kaplicy kościoła w Zakładzie Przymusowej Pra- cy (Zakład dla Korygentów – nigdy nie znalazłem właściwej nazwy). Z kościoła korzystali również bo- janowscy katolicy. Przypominam sobie, że właśnie w tej kaplicy nasz szkolny chór szkoły powszechnej śpiewał podczas uroczystych mszy świętych. Chór prowadziła nauczycielka śpiewu nowo przybyła do Bojanowa, panna Maria Chelwiżanka (obecnie Ma- ria Michalska, emerytowana nauczycielka, po prostu MM). Później na wszystkie uroczystości państwowo -kościelne wkraczaliśmy już w pełnej gali, ze sztan- darem szkoły rolniczej na miejsce przed ołtarzem. Niemcy próbowali przeszukiwać domek matki Ste- fana, ale gdzie mógł się ukryć „człowieczek” o wadze 130 kg i około 190 cm wzrostu? Domek miał dwie małe izby z przylegającymi komórkami. Niemcy przeszukiwali w okolicznych wioskach i miastecz-

---

<sup>132</sup> Zob. przyp. 39.

kach. Nikt jednak takiego człowieka nie spotkał i nie widział. Przepadł jak kamień w wodę. Matka Stefana często przychodziła do naszego mieszkania wypytując ojca o jakąkolwiek wieść o synu. Zawsze wychodziła zapłakana. Udawała się do magistratu, wypytywała Niemców, czy coś wiedzą, czy Stefana złapali. Nikt nic nie wiedział. Kochające serce matczyne drżało niemożliwie.

Będąc pewnego razu koźmi w Bojanowie, spotkałam w głębokiej żałobie Frau Wehner<sup>133</sup>, matkę Elzi. Co się stało? Ojciec dowiedział się, będąc pewnego razu w gazowni po odbiór akumulatora, że Elzi pracowała jakiś czas w magistracie. Później przeszła do pracy w Banku Spółdzielczym. Prawdopodobnie w 1942 roku udała się do swojego wujka w Berlinie, gdzie wstąpiła do formacji kobiecych Wehrmachtu. Losy wojny rzuciły ją do Afryki, gdzie walczyła pod dowództwem słynnego „Lisa Pustyni”, feldmarszałka Rommla i zginęła w piaskach pustyni. Ojciec całkowicie wycofał się z życia politycznego i partyjnego. Prowadził tylko swój mały składzik, hurt opału.

Starsza siostra Maria w lipcu albo w sierpniu została zabrana z Gierłachowa do kopania rowów w okolicach Leiperode (Lipna koło Inowrocławia). Bardzo rzadko pisała, a w listach, które docierały do rodziców, było pełno skarg i łez na okropne traktowanie przez Niemców oraz bardzo słabe wyżywienie. W ich obozie, w którym było około 400 Polek, służbę wartowniczą od września pełnili własowcy<sup>134</sup>. Wówczas dla Polek nastało istne piekło.

---

<sup>133</sup> Pisownia błędna, zob. przyp. 7.

<sup>134</sup> Własowcy – żołnierze kolaborującej z Niemcami Rosyjskiej Armii

Do czasu, gdy funkcje strażników pełnili żołnierze Wehrmachtu, można było jakoś, choć ciężko, przeżyć nawet dłuższy okres. Na początku pracy siostra została oddelegowana jako tłumaczka. Mówiła dobrze po niemiecku, ale po objęciu władzy przez własowców, polikwidowano wszystkie służbowe stanowiska i wcale do rzadkości nie należały przypadki, gdy wynoszono zakatowane dziewczyny. Siostra wróciła do domu pod koniec lutego 1945 roku. Był to tylko cień dawniejszej dziewczyny, pełnej energii i zdrowia. Wróciła zabiedzona, wynędzniała, brudna i zawszona.

Młodsza siostra Irena „przepychała się” jakoś dziwnymi zrządzzeniami losu. Była do pomocy przy dzieciach w rodzinach niemieckich. Pracowała w ogrodnictwie u Niemca Poinkego<sup>135</sup> koło Bojanowa. W pewnym okresie czasu sprzątała w magistracie. W ten sposób ustrzegła się przed wywiezieniem na przymusowe roboty. Najwięcej pod koniec 1944 roku uzyskiwała wiadomości nasza mama-krawcowa. Niemki, które przychodziły do mamy z „szyciem”, często zwierzały się oraz narzekały na coraz trudniejsze warunki życia. Dość częste były informacje o tym, że ktoś zginął dla Vetarlandu i Führera lub wiadomość nie była pełna – po prostu zaginął. Z tymi „zaginięciami” były różne historyjki. Nigdy Niemcy nie zapowiadali o tym, że taki to a taki Fryc lub Otto przeszedł do Ruskich lub się poddał. Tego typu sprawy nazywały się „zaginął”. Później okazy-

---

Wyzwoleńczej, którą dowodził gen. Andriej Własow (1901–1946). Własow został powieszony po procesie w Moskwie.

<sup>135</sup> Zob. przyp. 31.

wało się, że taki zaginiony Frycek po iluś tam miesiącach wracał i żył. Zgodnie z rozkazem Führera dobry Niemiec „nie poddawał się”. Front wschodni został strategicznie zatrzymany nad Wisłą. Führer przygotował nową, cudowną broń, która miała doprowadzić do zwycięstwa. Ojciec najwięcej pełnych informacji otrzymywał od Fuchsa z Tarchalina, u którego służył najstarszy brat. Fuchs przyjeżdżał do nas do Bojanowa, gdyż ojciec zabierał z gazowni naładowany akumulator. Były wiadomości, że od końca lipca 1944 roku gdzieś za Bugiem już jest Polska. Polska armia walczy przy boku Ruskich, ale to wszystko zostanie znów rozbite i biada wtedy Polakom. Obecne tereny zostaną zajęte przez nich i powrócą w granice Trzeciej Rzeszy. Z wyżywieniem było już naprawdę krucho. Nawet Niemcy zaczęli otrzymywać mniejsze przydziały, a dla Polaków pozostawały już prawie ochłapy. Zacząłem wtedy wspomagać rodziców na miarę możliwości, jakie miałem w Trzeboszu. Szkopuł polegał na tym, że często żandarmi, a nawet stworzone „cywilne” kontrole zatrzymywały Polaków do kontroli. Każdy mój i Tereni wyjazd rowerem do Bojanowa był ryzykiem. Jajka, kurczak, wek z mięsem natrafione, mogły być ostatnimi... Lepsze warunki stwarzały wyjazdy końmi z wozem. Wtedy nawet żandarmi, a cywile w ogóle, nie rewidowali. Nie zawsze jechałem sam, najczęściej z szefem lub szefową. Jednak zawsze udało się podjechać do domu. Nieraz i szefowa wchodziła do mamy po jakieś tam porady krawieckie. Wtedy zawsze przemycało się woreczek ziarna lub torebkę podebranej mąki, parę jajek lub zabitego kur-

czaka względnie kurę. Nie zważało się przy tym, czy to była nioska, czy nie. Ziarnka trafiały zawsze do tych Polaków-sąsiadów, którzy posiadali żarna. Rodzina Grochowiaków przez pewien czas miała w mieszkaniu zainstalowane żarna. Przylegało ono do domu krawca Kapturczaka<sup>136</sup>. Z drugiej strony zamieszkiwały dwie stare Niemki, którym podejrzany mógł się wydawać jednostajny, głuchy poszum czyniony przy kręceniu żaren. Ile należało mieć wybiegów, ile ostrożności, ba – nawet przebiegłości, który dla Polaków był chlebem codziennym. Każdy Polak kombinował, okradał okupanta z czego tylko mógł. Każde takie poczynanie to akt walki przeciw Niemcom, jak również ogromna siła witalna do przetrwania.

Dawno skończyły się mrzonki, że gdy „słoneczko wyżej, to Sikorski bliżej”, że „Anders wjedzie na białym koniu”. W tym czasie było jasne, że upragniona wolność nie przyjdzie „na koniku i ułanie z szabelką w dłoni”. To stawało się nierealne. Jakże wielka niewiadoma była przed nami? Jak się to wszystko skończy? Kto to jest lub jacy są owi bolszewicy? W niemieckich karykaturach Stalin z toporem ociekającym krwią ścinał głowy Polakom. Bolszewicy żołnierze rozbijali główki dziecięce o krawężniki murów, bagnetami przekłuwali ciężarne kobiety, powiązanych w drutach kolczastych żołnierzy polskich pędzili na Sybir... gdzie tu jest prawda? Jaka ta prawda będzie? Kiedy to nastąpi?

---

<sup>136</sup> Chodzi o mistrza krawieckiego Ludwika Kapturczaka (1878–1957). Informacji udzielił USC Bojanowo.

W Bojanowie u ojca nie było też żadnych wiadomości. Wszędzie sprzeczne informacje. Ojciec – pokrój „żołnierza z I wojny światowej”, był w czasie tej wojny na wschodnim froncie. Nie wierzył w takie propagandowe historyjki Niemców. Ani on, ani jego koledzy nie byli w stanie właściwie ocenić sytuację i wyłuskać prawdę lub wiarygodniejsze informacje. Kolega Maryś Piotrowiak dużo słyszał w zakładzie fryzjerskim. Niemcy, będąc wzorem zdyscyplinowania politycznego, wobec Polaków nie puszczali „farby”. Jeszcze nadal wierzyli w jakąś tam cudowną broń, którą Führer obiecywał, a o której minister propagandy Goebbels grzmiał przy każdej okazji swoich wystąpień. Pewnej niedzieli wyprosiłem wyjazd do Gierłachowa, mówiąc, że siostra jest chora. Pojechałem rowerem. Tam, w zgranym kolektywie służby, również nie było żadnych konkretnych, prawdziwych informacji. Według wypowiedzi kolegów siostry, już za Bugiem była Polska. Ziemie zostały wyzwolone, lecz jak tam jest obecnie, co tam się dzieje, kto to jest ów lubelski rząd<sup>137</sup>, kto wchodzi w jego skład? Dla nas tu, w Wielkopolsce była to jedna wielka tajemnica i niewiadoma.

Życie płynęło swoim stałym rytmem codziennych prac w gospodarstwie. W okresie zimy nie było specjalnych ważnych prac prócz karmienia inwentarza i opieki nad nim. Toteż moje konie aż błyszczwały od czystości i pielęgnacji. Krowy dobrze

---

<sup>137</sup> Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitej Polskiej, zaprzysiężony 31 grudnia 1944 r., nieuznawany przez mocarstwa zachodnie. 28 czerwca 1945 r. został przekształcony w Rząd Jedności Narodowej.

utrzymane, czyste i pełne mleka, świnki przybierały na wadze.

Front stanął nad Wisłą i wszystko czyniono dla umocnienia wiosennego natarcia. Miejscowi Niemcy jakby przycichli, byli jakoś mniej krzykliwi. Mój szef bardzo często wychodził w godzinach wieczornych do sołtysa na jakieś narady lub coś podobnego. Często wspominał o należyтым dbaniu o inwentarz. Na moje pytanie, dlaczego, odpowiadał, że mogą czasami zabierać dla celów wojskowych, ale bliższych szczegółów – dokąd, ile – ani słowa.

Na początku grudnia, może to było około Barbary, udałem się do lasku w celu wyszukania drewna na opał. Lasek przypadł w podziale gruntu z majątku do gospodarstwa. Miałem dokonać rozeznania, a szef załatwi zezwolenie na usunięcie. Lasek położony był przy drodze z Bojanowa do Trzebosza, na lewo przed majątkiem. Stoi do dnia dzisiejszego, o powierzchni około 1,5 hektara. Znalazłem kilka suszek, które w moim mniemaniu mogły iść pod topór. Nagle usłyszałem wiejską syrenę alarmową. Wyszedłem na skraj lasu, by zobaczyć, co się stało. Od wioski pędzili na rowerach niemieccy gospodarze. Każdy uzbrojony w karabin. Wszyscy zdążają wprost na lasek. Zaciekawiony wyszedłem spomiędzy drzew i przyglądałem się. Po chwili wszyscy już byli wokół mnie, a szef pomiędzy nimi. Wszyscy ładują się prawie na mnie i dziwią się, co tutaj robię i dlaczego mam siekierę? Szef wyjaśnił o co chodzi i zapytał, czy podczas mojego obchodu lasku nie zauważyłem czegoś nadzwyczajnego lub kogoś. Odpowiedziałem, że nikogo nie było, a swojego zadania



penetracji lasku jeszcze nie wykonałem. Nareszcie dowiedziałem się, że „oni” otrzymali telefon z Bojanowa o ukrywaniu się radzieckich skoczków. Muszą znajdować się w pobliżu okolic Bojanowa. Mnie po chwili odesłali do domu, sami zaś ruszyli tyralierą na poszukiwania. Takich lasków jest w okolicach Trzebosza aż cztery. W godzinach późnopołudniowych wrócili brudni, zabłoceni, zmęczeni. Nikogo nie znaleźli, na nic nie natrafili, szef machnął tylko ręką na moje pytania, pod nosem coś tam mruknął i poszedł do domu. Nazajutrz zapowiedział, że nie wolno samemu chodzić do lasku. Tak skończyła się obława na ruskich skoczków. Fałszywe alarmy, psychoza strachu lub gotowości do działania dla odparcia nieprzyjaciela, wierni poddani Führera.

Istotnie zbliżał się koniec. Był to przecież grudzień 1944 roku. Wszystkie<sup>138</sup> nasze obmyślane, zaplanowane, wymarzone zakończenie, miało zupełnie inny koniec. Zupełnie nie taki, jak w naszych obliczeniach, w naszych nocnych opowiadaniach. Cóż się stało? Wieś Trzebosz buraki cukrowe odstawiała do cukrowni w Miejskiej Górcie. Dostawa odbywała się własnym transportem, wozami. Gospodarze ustalali terminy i zawsze w któryś tam dzień kawalkada wozów bardzo wcześnie rano wyruszała przez Bojanowo, Golinę, Łaszczyn do celu. Pustymi wozami wracaliśmy już nie przez Bojanowo, ale przez Pakówkę. Była to polna droga, nieutwardzona, ale znacznie bliższa. 18 grudnia odwoziłem ostatni wóz buraków. My, parobcy sporządziliśmy sobie

---

<sup>138</sup> Tak w oryginale. Powinno być: *Całe nasze* [...].

zmyślne siedzenie umieszczone na rozworze dyszla, tuż za końskimi zadami. Była to ławeczka umocowana łańcuszkami do skrzyni wozu. Byliśmy schronieni przed wiatrem, deszczem lub śniegiem. W drodze powrotnej, w lesie przed Dąbrówką nacięliśmy kilka małych, ot takich maciupkich choineczek, do pół metra wysokości. Zbliżała się Gwiazdka. Każdy miał rodzinę, a okazja była wspiania. Polakom nie było wolno sprzedawać choinek. Po wrzuceniu ściętych drzewek do wozów, ruszyliśmy dalej i właśnie na kilkanaście metrów przed zakrętem na drodze do Pakówki, przemknęły obok nas trzy czarne mercedesy jadące na pełnych sygnałach. Jechałem w naszej wozowej kolumnie jako ostatni. Konie, spłoszone wyciem klaksonów, zaczęły ponosić. Widziałem, że poprzedzające wozy rozpoczęły dziwny taniec na drodze, padał drobny, suchy śnieg, zadymka. Moje konie – Siwek idący po lewej stronie i młoda gniada klacz zazwyczaj spokojne, teraz były podniecone tym hałasem, zimnem i oddalającymi się wozami, również wpadły w jakiś zwariowany, krótki galop. Nie bałem się o uprzęż, lejce również, którymi zacząłem „piłować” wolno, ale stanowczo. Nie przyzwyczajony do takiego postępowania w uździe, Siwek zaczął bić kopytami. Skuliłem się zupełnie na prowizorycznej ławeczce, w obawie przed uderzeniem kopytem. Konie były ostro kute na zimowe warunki. W pewnym momencie poczułem uderzenie w lewe kolano, ale ze zdenerwowania nie zwróciłem na to szczególnej uwagi. Konie wolno uspokajały się, a poprzedzające mnie wozy, skręcały już na drogę polną do Pakówki, obok drogomistrzówki.

Tutaj, na grudzie, gdy wóz (wozy były z kołami na obręczach) zaczął podskakiwać, odczułem ból w lewym kolanie, a w bucie ciepło spływającej krwi. Zacząłem krzyczeć na kolegów, podniosłem się nawet na prawej nodze, przeraźliwe gwizdząc na palcach. Jeden z kolegów usłyszał moje wołanie. Pozostali wstrzymali konie i podbiegli do mnie, by zobaczyć, co się stało. Sam nie wiedziałem, miałem na sobie grube, wojskowe spodnie, przysłane przez brata z obozu oraz dwie pary kalesonów. Widocznie musiałem dostać kopytem, kiedy kołdra obsunęła się z kolan. W przeciwnym razie zmniejszyłaby siłę uderzenia. Krótka narada i cztery wozy pojechały szybko do Trzebosza, by powiadomić szefa o wypadku. Ze mną pozostał Stasiu Frankowiak i jechał przodem, a moje konie szły przywiązane do tyłu wozu. Mnie położyli na kocach w skrzyni wozu. Każdy wstrząs wozu powodował niesamowity ból. Z Pakówki do Trzebosza jest około 4 kilometrów. Dopiero krótko przed wsią podjechał szef z Terenią lekką powózką. Jednak bez przekładnia mnie na powózkę, dojechaliśmy do gospodarstwa. Cóż było robić? Nastąpiła noc, zadymka na całego. Przecięto spodnie i kalesony, pocięto cholewy od buta. Kolano przedstawiało okropny widok. Rana wydawała się naprawdę groźna, pełno krwi, nachodziła opuchlizna. Całą noc obkłady i obmywanie. Nie było mowy o podniesieniu się. Każdy najdrobniejszy ruch sprawiał niesamowity ból. Szef zupełnie stracił głowę. W gospodarstwie nie było już żadnej ważnej pracy, pozostali musieli radzić sobie sami. Rano kolano wyglądało jeszcze gorzej. Decyzja był tylko jedna, trze-

ba było jechać do lekarza do Bojanowa. Krytą karetę z wyścielanymi poduszkami pożyczył sąsiad Ast i szef zawiózł mnie do domu ojca. W Bojanowie w tym czasie urzędował niemiecki lekarz, Knaphe – zapijaczona, wredna, niemiecka morda. Polakom w ogóle nie udzielał żadnych zwolnień. Wszyscy musieli być zdrowi i pracować. Ojciec jednak sprowadził go do domu. Ten obejrzał kolano i krótko stwierdził, że kolano jest rozbite i należy chorego zawieźć do szpitala do Leszna i amputować nogę. Mama z Terenią rozplakały się, Herr Paschke, który czekał na wynik, jakoś dziwnie też zaczął wycierać oczy: „Co my teraz Józef zrobimy, przecież nie jestem nic winien, gdybyś coś potrzebował, to Terenia dostarczy”. Pożegnał się i wyszedł, pojechał bryczką do Trzebosza. Widziałem go po raz ostatni, nie było złe Szwabisko. Sprawa nogi była dla mnie najważniejsza. Pożegnała się również Terenia, musiała wracać do swoich obowiązków. Nikogo już z rodziny Paschke więcej nie zobaczyłem, ani owej „kochliwej Frau”, ani też synka Frytza-oficerka. Do Trzebosza wróciłem znacznie później, po kilku latach, lecz w zupełnie innych warunkach i w innej „postaci”, jako osiedlający repatriantów na ponemieckich gospodarstwach z ramienia Państwowego Urzędu Ziemskiego i Państwowego Urzędu Repatriacyjnego. Co do nogi, ojciec nie dał za wygraną. W Bojanowie, w byłym Zakładzie Pracy Przymusowej kwaterowali niemieccy żołnierze. Był wśród nich lekarz wojskowy mjr von Hagemajer<sup>139</sup>. Na szpitalnym łóżku

---

<sup>139</sup> Niemiecka pisownia tego nazwiska to Hagemeyer lub Hagemeyer.

wypożyczonym przez sanitariusza (obowiązki te pełnił były mistrz fryzjerski pan Adamczewski<sup>140</sup>) i wspólnie z nim, zawiózł mnie ojciec do wspomnianego majora. Czysta niemiecka mowa ojca i jego kolegi sprawiła, że na odwachu niemieccy żołnierze natychmiast zaprowadzili nas przed oblicze swojego lekarza. Tenże dokładnie obejrzał kolano, kazał dokonać zdjęcia i orzekł, że może nie zajdzie potrzeba amputacji, ale noga będzie sztywna – to rzecz pewna. Już promyk nadziei, niech będzie sztywna, lecz własna. Więcej major nie potrafił pomóc i zapytał, dlaczego nie poszliśmy do cywilnego lekarza? Ojciec nie wytrzymał i wypalił panu majorowi, że był w niemieckim wojsku, opowiedział o pracy w Westfalii. Niemiec nic nie odpowiedział, zawołał adiutanta i kazał nas wyprowadzić z koszar, prześwietlenie nam pozostawił. Co dalej było robić? Zima na całego, około minus 15 stopni, zadymka. Za trzy dni święta Bożego Narodzenia, był 21 grudnia. W następnym dniu ojciec otrzymał urlop, pan Adamczewski też. Coś tam przeszkodziło i w sam dzień Wigilii udaliśmy się do Leszna. Na stacji w Bojanowie przy pomocy polskich kolejarzy wtargali mnie do pociągu, do wagonu pocztowego. W Lesznie byliśmy już w godzinach popołudniowych. Ojciec nie znał Leszna i dopiero za którymś razem dotarliśmy do szpitala pod wezwaniem św. Józefa (obecny szpital na ulicy Dzierżyńskiego<sup>141</sup>). Główny budynek szpitala

---

<sup>140</sup> Wiktor Antoni Adamczewski, mistrz fryzjerski, ur. 1 października 1890 r. w Gogolewie (pow. Gostyń), w Bojanowie mieszkał od 20 sierpnia 1921 r. Zob. APL, zespół nr 34/13/0, Akta miasta Bojanowo, sygn. 107, s. 62–63.

<sup>141</sup> Obecnie jest to ul. Niepodległości.

przeznaczony był dla Niemców, dla Polaków – barak znajdujący się w parku, obecna siedziba Komendy Hufca ZHP. W październiku br. „odwiedziłem” i szpital, i barak. Do szpitala dobudowano nowe skrzydło, a w baraku odnalazłem nawet tę „izbę chorych”, w której leżałem. Powróćmy jednak do owej Wigilii 1944 roku. W szpitalu odbyła się wigilia, nie było lekarza naczelnego. Po powiadomieniu, że przywieziono chorego po wypadku, zaraz przybył. Było to ogromne chłopisko, podobno Łotysz<sup>142</sup> o nazwisku Hangefeld (lub coś podobnego). Dłonie miał jak bochny chleba, zadrzałem, kiedy zabrał się do oględzin kolana. Dłonie delikatnie muskały kolano, prawdziwe ręce chirurga. Był Niemcem. Później w szpitalu dowiedziałem się, że jego dewizą był tylko człowiek chory. Nie obchodziło go nazwisko, ani czy Niemiec, czy Polak. Po wstępnym obejrzeniu kolana oraz przywiezionej kliszy z prześwietlenia orzekł, że zrobi wszystko, żeby taki młody człowiek mógł poruszać się o własnych siłach i na własnych kończynach. Lepszej świątecznej gwiazdki nie mógł mi sprawić. Ojciec odjechał już z pełnym przeświadczeniem o słusznej diagnozie lekarza. Dwukrotnie brano mnie na stół, usunięto jakieś drzazgi, coś tam poskładano i założono gips od stopy do uda. W gipsie pozostawiono okienko na wysokości kolana. Wszystko to zrobiono w pierwszym dniu po świętach. W dniu przyjęcia do szpitala dostałem dwa lub trzy zastrzyki. A same święta? Trafiłem do sześćcioosobowej sali. Był tam Staszek Nowakowski,

---

<sup>142</sup> Z kontekstu wynika, że chodzi o Niemca z Łotwy.

pomocnik maszynisty PKP postrzelony przez alian-  
tów w czasie nalotu na pociąg towarowy na terenie  
Rzeszy. Fryzjer pan Matysiak, z Włoszakowic robot-  
nik tartaczny, któremu drewno przygniotło nogę  
i jeszcze ktoś tam ze złamaną ręką. W pierwszym  
dniu świąt wynikł problem, skąd choinkę. Rosły za  
oknem, opatulone śniegiem, maleńkie drzewka.  
Jak do nich się dostać? Zadania podjął się Staszek.  
Przez okno zwałił się biedak w śnieg i tylko dzięki  
pomocy polskiej siostry nasz pomysł został ureal-  
niony. Co na choinkę? Znow polska pomysłowość.  
Zrobiliśmy koszyczki z bibułki, w które pokładliśmy  
grudki koksu, leżał pod barakiem. Był ładnie oszlifo-  
wany, wyglądał jak małe czekoladki. Nabrała się  
na to niemiecka siostra przełożona, która w czasie  
wizyty podeszła do choinki i stwierdziła, że Polacy,  
a czekoladę mają. Parsknęliśmy śmiechem. Wyszła  
trzaskając drzwiami.

5 stycznia 1945 roku przyjechała Terenia, natu-  
ralnie nie z pustymi rękami. Pozdrowienia od sze-  
fów, plus masę papierosów, cygaretek i nawet fajko-  
wego tytoniu. Pamiętam, ów człowiek z Włoszakowic  
kręcił sobie skręty do potęgi. Naturalnie były pyta-  
nia, opowiadania i zalecenia od szefa: „Niech Józef  
chodzi sobie w gipsie, tylko niech wraca”. Owszem,  
gips był na nodze, lecz o powrocie już nie było co  
marzyć. 10 stycznia otrzymałem kule, mogłem po-  
skakiwać i chodzić po całym baraku. W pozostałych  
salach było pełno Polaków i Polek. Wszędzie gips,  
nogi i ręce połamane w przeróżnych wypadkach.  
Nastrój jednak był dobry, bardzo koleżeński. Kto  
tylko mógł poruszać się o własnych siłach, pomagał

innym. W baraku stałą służbę pełniła polska siostra miłosierdzia – Wera. Wspaniała kobieta i człowiek, może była w moim wieku, może starsza. Kim była przed wojną? Czy ukrywała prawdziwe nazwisko i inną postać z cywila pod osłoną habitu? Zachowanie jej było poprawne, ale oczy wskazywały, że nie jest to „stała” siostra miłosierdzia i jej ruchy, gdy była sama, w sensie gdy nie było Niemców. Nie można było „wysondować”. Nagabywana przez nas na ten właśnie temat, potrafiła zręcznie wybrnąć i uciinała, że to nie nasza sprawa.

Na innych salach przebywali chorzy z miasta Leszna i bliższych okolic, do których rodziny przychodziły bardzo często. Odwiedziny były bez ograniczenia. Niemcy doskonale się orientowali, że mimo okropnych braków w otrzymaniu jedzenia, Polacy przynosili swoim chorym żywność. Właśnie od tych miejscowych dowiedzieliśmy się, że 12<sup>143</sup> ruszyła zimowa ofensywa, później słusznie nazwana ofensywą wolności. Dnia 17 stycznia ranna wizyta w pełnym komplecie. Naczelný lekarz wyjaśnił krótko, że posiada wystarczającą ilość transportu do ewakuacji nawet Polaków. Do następnego dnia należy sporządzić listę chętnych do ewakuacji. Naturalnie wśród nas takich chętnych nie było. W następny dzień, około południa pierwsi miejscowi chorzy z miasta i okolic Leszna udali się wraz z rodzinami do domu. Cóż ja miałem zrobić? Pomyślałem, od czego siostra Wera? Dodzwoniła się do Bojanowa, do gazowni, gdzie pracował ojciec. Już w następnym

---

<sup>143</sup> 12 stycznia 1945 r. ruszyła operacja wiślańsko-odrzańska Armii Radzieckiej, zakończona w lutym na linii Odry.



dniu moja opiekuńcza para ojciec – Adamczewski była u mnie.

Zima paskudna, śniegu pełno, zadymka, lecz gorzej na dworcu. Pełne perony wojska i cywilnych uciekinierów, niesamowity hałas, płacz dzieci, krzyki wojskowych. Wszystko w kierunku kolejarzy. „Gdzie są pociągi, o której nadejdą, dlaczego mają opóźnienia?” Każdemu się spieszyło, każdy był ważny i każdemu przez twarz przelatywał strach, oczy rozbiegane, walizy, kufry... Trudno o jakąkolwiek informację i pewną wiadomość. Ojciec na zmianę z panem Adamczewskim co kilkanaście minut dawali nurka w tłum przewalający się po peronie, docierali gdzieś do polskich kolejarzy, ale i oni nic pewnego wyjaśnić nie potrafili. Mnie ustawiono pod oknami dworcowej restauracji. Obok mnie przysiadła na swoich tobołach jakaś rodzina spod Kutna, która uciekała w głąb Rzeszy, w okolice Lipska. Miałem czas, ale nie miałem swobody ruchów, bałem się o moich kulach oddalić od wózka. O wypadek przy tak zatłoczonym peronie było bardzo łatwo. W pewnym momencie jakaś dziwnie znajoma postać kobieca przeszła obok mnie. Widziałem jej ruchy, stąpanie, jakieś znajome. Nie widziałem twarzy. Wysoko postawiony kołnierz ni to wojskowego, ni cywilnego płaszcz nie pozwolił spojrzeć w oblicze. Coś znajomego było w całej tej postaci. Przeleciała myśl, przecież to siostra Wera. Ale to niemożliwe, przecież jeszcze w szpitalu odprowadziła nas parę metrów poza barak. Pomyślałem, że to jednak niemożliwe, przeoczenie. Codzienne jej widywanie na sali przywołało zapamiętane ruchy

i podobną postać kobiecą. W pewnym momencie poczułem uderzenie w ramię i pytanie: „Józef, czy nie Józef?” – stał przede mną znajomy, starszy o parę lat, poznany jeszcze podczas mego pobytu w Żylicach. Człowiek, który był na posługach jako siła robocza – knecht, parobek przy stacjonującej na Białym Orle małej grupie wojskowej. Wraz z cywilnymi osobami pilnowali więźniów-Żydów, zgrupowanych właśnie w zabudowaniach folwarczku przynależnego do Łaszczyna, zwącego się Biały Orzeł, a położonego po lewej stronie szosy z Rawicza do Bojanowa, przed Żylicami. Dziś składowisko kamienia w gestii Rejonu Eksploatacji Dróg Publicznych. Znałem tego człowieka, ponieważ pole Niemca Weigla<sup>144</sup>, u którego przeszedłem ziemską gehennę, położone było blisko owego Białego Orła. Człowieka tego spotykałem przy pracach wokół tych zabudowań. Przypomniała się nam historia związana z owym półobozem Żydów na Białym Orle<sup>145</sup>. Był listopad lub początek grudnia tegoż roku, w którym pracowałem w Żylicach. Często widzieliśmy kilkudziesięcioosobowe grupy Żydów, maszerujące przez Żylce w kierunku Masłówki, gdzie dokonywali czyszczenia koryta tej rzeczki. Pamiętam, że rano prawie zawsze

---

<sup>144</sup> Właśc. Weigela, zob. przyp. 91.

<sup>145</sup> Według ustaleń Anny Ziółkowskiej, obóz Łaszczyn (niem. Gutfeld) – folwark Biały Orzeł (niem. Weissner Adler) funkcjonował od listopada 1941 do 1 lutego 1943 r. Osadzeni w nim Żydzi, deportowani z getta łódzkiego, kierowani byli do robót melioracyjnych i regulacji rzeki Masłówka. Z zachowanych dokumentów wynika, że w okresie od grudnia 1941 do czerwca 1942 zmarło w nim 18 Żydów. Szerzej zob. A. Ziółkowska, *Obozy pracy przymusowej dla Żydów w Wielkopolsce w latach okupacji hitlerowskiej (1941–1943)*, Poznań 2005, s. 56–57, 253.

były dość silne przymrozki. Woda była ścięta lodem, czyli parę stopni poniżej zera. W taką zimną wodę wpędzano Żydów, którzy grabiami, widłami, hakami wyciągali zalegające w korycie różnego rodzaju ziel-sko. Wyciągali to z wody, sami wchodząc do wody, niekiedy woda sięgała im nawet do pasa. Pracowali bodajże od siódmej rano do piętnastej lub szesna-stej po południu, gdyż wracali z powrotem w pełnej szarudze. Ślaniały się te człowiecze postacie, ocie-kały wodą, zziębnięte, przemęczone, szurające no-gami odzianymi w jakieś obuwie, szmaty czy łapcie. Jakże często jeden drugiego podpierał, dopomagał iść. Specjalnej obstawy nie było. Zazwyczaj dwóch lub trzech żołnierzy i czterech lub pięciu cywilów, nie Żydów, chyba Niemców, bo dostatnio ubranych, w ciepłych czapach, w dobrych płaszczach. Każdy z nich miał w ręce ni to pałkę, ni to kołek z płota, któ-rymi jakże często traktowali ledwo poruszających się Żydów. Chodziły słuchy po Żylicach, że nie było dnia, w którym by nie wywieziono Żydów, zmarłych z wycieńczenia, zimna i głodu. Wywożono ich gdzieś za Rawicz, w okolice Szymanowa – Słupi Kapitulnej. Pewnego ranka do mojego gospodarza przyjechał sołtys Sajler<sup>146</sup>, informując Weigla<sup>147</sup>, że nazajutrz powinien podstawić podwodę, czyli wóz z końmi do Białego Orła celem przetransportowania zmar-łych Żydów. Ja musiałem to polecenie wykonać. Narzuciłem na wóz dwa lub trzy snopki słomy, uzna-łem bowiem, że trumny lepiej zniosą transport na słomie. Gdy zgłosiłem się w owym Białym Orle,

---

<sup>146</sup> Prawdopodobnie chodzi o nazwisko Seiler, zob. przyp. 100.

<sup>147</sup> Właśc. Weigela, zob. przyp. 91.

właśnie ów człowiek spotkany na dworcu przyjął mnie i zaprowadził na podwórze pod chlebowy piec. Podjechałem i stanąłem zdziwiony. Nie mogłem sobie skojarzyć, co mógł mieć wspólnego piec chlebowy z żydowskim trupami? Zszedłem z wozu i podszedłem bliżej pieca. Kiedy go otwarto, zobaczyłem zwłoki zmarłych Żydów, zupełnie nagie. Był to moment, nie zdążyłem chwycić lejców, które rzuciłem na wóz. Kiedy konie wyczuły trupy, stanęły dęba, zrobiły jakiś zwariowany skręt i rzuciły się do ucieczki. Pierwsze odpadły tylne koła, które uderzyły w jeden słup bramy. Następnie konie skrzyły na szosę i w dzikim galopie pognały do domu, do Żylic. Zrobił się niesamowity hałas, z budynku wybiegło dwóch żołnierzy. Ale konie były już daleko na szosie. Na pytania, co się stało, wyjaśniłem przyczynę ucieczki koni. Jeden z żołnierzy wrócił po broń i udał się ze mną do Żylic. Obawiałem się, że mój gospodarz-Niemiec nie uwierzy mi, co się stało. Pokiwał ręką i stwierdził, że grunt, aby się koniom nic po drodze nie stało. Wóz na pewno mój gospodarz dostanie nowy. Zapytałem, czy koń ważniejszy jest od człowieka? Usłyszałem: „Czy Jude jest człowiekiem?”...

Jak przewidywał, konie już tylko w samej uprzęży dobiegły do Żylic. Wóz leżał po drodze w zupełnych strzępkach, a ów Niemiec-gospodarz po dwóch tygodniach otrzymał z Rawicza nowy, porządny wóz. Koniom nic się nie stało, były ważniejsze od człowieka...

Na moje pytania, co tam na Białym Orle się dzieje, usłyszałem, że po tych Żydach, których ja pamię-

tam, już dawno nie ma najmniejszego śladu. Później były znów dwa transporty, które też zostały zlikwidowane, a obecnie on został tylko przy kilku wołach i wołowej młodzieży na opas. I tak, po prawie trzech godzinach wyczekiwania, nadszedł pociąg od strony Poznania, tak już przeładowany, że o dostaniu się do niego nie było mowy. Znow gdzieś trafili się polscy kolejarze, którzy wpakowali nas do brankartu<sup>148</sup>. Tak dotarliśmy do Bojanowa w późnych godzinach wieczornych. Byłem w domu. Był to już 18 stycznia 1945 roku. Zima trzymała solidnie, mróz, śnieg. Temperatura spadła do minus 20 stopni. W samym mieście Bojanowie Niemcy przygotowywali się do ewakuacji. Mieszkaliśmy przy ulicy Ponieckiej, narożnikowy dom z ulicą do Browaru<sup>149</sup>. Rodzice zajmowali na piętrze jeden duży pokój, może 5 na 5 metrów i skrytkę, która została przerobiona na sypialnię dla ojca. W następny dzień koledzy dowiedzieli się o moim powrocie i naturalnie, w godzinach popołudniowych, mieszkanie nasze było pełne, tym więcej chętnie mnie odwiedzali, gdy przekonali się, że dysponuję sporym zapasem papierosów i tytoniu. Któż w tym czasie jeszcze był w Bojanowie? Naturalnie ów Maryś-fryzjer, Eda Maćkowiak ślusarz, który dorobił podwójne klucze do kurnika w Trzeboszu, Eda Maślankowski, ślusarz w firmie Methnera<sup>150</sup> w Bojanowie, zawsze ułomny-

---

<sup>148</sup> Niem. Brankard – wagon służbowy personelu kolejowego.

<sup>149</sup> Browar w Bojanowie powstał w 1881 r. i działał do jego likwidacji w 1999 r. W 2012 r. zabytkowe budynki przejął Marek Jakubiak i uruchomił w nich Browar Bojanowo.

<sup>150</sup> Prawdopodobnie chodzi o zakład Maksa Blothnera w Bojanowie. Zob. przyp. 33.

-kaleka Stefek Witkowski i inni. Przyszła z Trzebo-sza Terenia, znów z zapasem papierosów od szefo-wej i szefa. I – znów jeden jedyny temat, co dalej? Jaki będzie koniec? Ostatnie dni przed wyzwoleniem nie były wesołe. Niebezpieczeństwo czyhało ze strony miejscowych Niemców. Chodzili po domach i spisywali wszystkich mężczyzn od 14. roku życia oraz kazali czekać na dalsze polecenia i nie oddalać się poza obręb Bojanowa. Co zamierzali? Co chcieli z nami zrobić? Jaki miał być nasz los? W owe dni była to jeszcze niewiadoma, dowiedzieliśmy się znacznie później, że zamierzali przed wkroczeniem Rusków, spędzić nas do hali sportowej tzw. Sokołówki na zapleczu szkoły rolniczej, na miejskim boisku i po prostu „fiu, do nieba...” Dowiedzieliśmy się również, że Sokołówka w tym czasie była już podminowana. Gwałtowne natarcie czołwki radzieckich czołgów nie pozwoliło i tu w Bojanowie dopełnić przez Niemców jeszcze jednego zbrodniczego czynu. A owe Ru-skie goniły Szwabów na pełne regulatory. Co wieczór ojciec przynosił nowe wiadomości o strategicznym cofaniu się na z góry upatrzone pozycje obronne niezwyciężonej armii Führera. W przeddzień wyzwolenia, przyjechał wozem ów znajomy Niemiec z Tarchalina, Maks Fuks przywożąc liczne toboły ze słowami „Johann – do ojca, przechowaj to wszystko, nam kazano uciekać, ja bym został, lecz rozkaz to rozkaz”. Rodzinę, czyli żonę i dwóch synków w wieku szkolnym wysłał wozem załadowanym pierzynami i innym dobrem do Reichu. Sam został wcześniej wcielony w szeregi Volkssturmu. Nigdy już nie wrócili, ani ów Maks, ani jego rodzina. Pozostali gdzieś

w okolicach Drezna. Dziś to dorośli ludzie, pracują w gospodarstwie rolnym w NRD. On sam, Maks Fuks zginął w dniu wyzwolenia, czyli następnego dnia, gdy waleczni obrońcy Vaterlandu w ilości czterech, gdy czołgi radzieckie parły na Trzebosz, owi waleczni obrońcy schowani za kupą kompostową, jakieś dwadzieścia metrów od drogi, poczęli ostrzeliwać kolumnę czołgów, któryś z czołgów zdenerwowany widocznie, obrócił wieżyczkę, wygarnął odłamkowym i kupa kompostowa wraz z walecznymi obrońcami poleciała na łono Abrahama... Tobały pozostały u nas, były tam wędzone specjalności, ciepłe okrycia itp. zimowe akcesoria. Przydały się na pierwsze zimowe początki wolności. Ojciec urządził w piwnicy schron, przypomniały się, staremu niemiec-kiemu wojakowi, czasy pierwszej wojny światowej, a przewidywania ojca, jak dotychczas, zawsze się sprawdzały. Właściciel domu Niemiec, malarz Wizner<sup>151</sup>, uciekł poprzedniego dnia, pozostawiając klucze ojcu, z przykazaniem „pilnowania mieszkania, nie okradzenia, bo jak wróci, to nastąpi rozliczenie”... lecz już nigdy ojca nie rozliczył, nie wrócił, pozostał w NRD.

Drzwi wychodzące na ulicę zostały solidnie zabezpieczone potężnymi dechami, dodatkowe lub zapasowe wyjście było przez podwórze, na następną uliczkę. W piwnicy umieszczono to wszystko, co było potrzebne na przetrwanie kilku dni, a u wejścia, komplet narzędzi, jak łomy, szpadle, kilof i coś tam jeszcze z podobnego żelastwa.

---

<sup>151</sup> Nie udało się odszukać malarza Wiznera (Wiesnera) w rejestrze mieszkańców Bojanowa.

Mama, jak zawsze zapobiegliwa, przytасzczyła owe toboły Niemca Fuchsa, wyjaśniając, że „będą dobrze schowane i zabezpieczone”. Stara beczka po kwaszonej kapuście została napełniona wodą. Wszystko to miało służyć w przypadku dłuższego, musowego siedzenia w piwnicy. Lecz tym razem przewidywania ojca nie sprawdziły się, nie było ostrzału artyleryjskiego, nie było bombardowania. Wkraczające wojska radzieckie nie miały do kogo strzelać. I tak nadszedł dzień 22 stycznia 1945 roku. Dochodziła godzina jedenasta. Wszyscy siedziemy w kuchni owego Niemca-właściciela. Okno kuchni wychodziło na ulicę. Mróz w granicach minus 20 stopni. W zamarzniętym oknie bez przerwy chucham i dmucham, mając mały „wizjerek” na spory kawałek ulicy. W pewnym momencie jakiś dziwny hałas, chrzęst, brzęk, zadudniło i stanęło. W wizjerku mojego okna stanął kolos na gąsienicach. Z czołgu zeskakiwali dziwni ludzie, dziwni żołnierze, ubrani w kożuchy, w dziwnych czapkach, z nieznana bronią w rękach, pochodzili po ulicy i poczęli kołatać do naszych drzwi. Ojciec doskoczył do mojego wizjerka i... otwieramy, to rosyjscy żołnierze. Dziwni to byli ludzie, dziwna mowa, choć podobna do naszej. My tu – w poznańskim nie mieliśmy żadnej okazji poznać lub usłyszeć mowę rosyjską. Dwóch z nich przyskoczyło do nas z wymierzonymi na nas pepesзами i coś po swojemu, stoimy jak słupy, nie wiem, czy z wrażenia, emocji lub po prostu strachu, nogi odmawiają mi posłuszeństwa, a może tylko krukwie<sup>152</sup> zaczynały drżeć, patrząc na ojca, też zdzi-

---

<sup>152</sup> Krukwie – drewniane podpory, zwykle sięgające pod pachy,



wiona i osłupiała mina, a oni po swojemu, padają takie wyrażenia, jak „Germania”, „Polaki”, „Polsza” i masę innych słów niezrozumiałych, lecz jakże dziwnie swojskich, podobnych. Po chwili zdobywam się na odwagę i mówię spokojnie, zupełnie wolno, że „my Polacy, Niemców nie ma, uciekli, wojska niemieckiego też w Bojanowie nie ma”... owi dwaj słuchają uważnie i w tej chwili spod czołgu podchodzi trzeci żołnierz i... znów niespodzianka, jeszcze większa dla nas, podchodzi do nas, zdejmuję ową czapkę i mówi „prawie” po polsku, mówi kobiecym głosem, przecież to żołnierz-kobieta. Wydobywa z mapnika mapę i prosi o wskazanie, gdzie się znajdują w tej chwili. Mapa jest niemiecka. Orientuję się doskonale, wskazuję na Bojanowo oraz kierunki na Rawicz i Leszno, to ich nie interesuje, gdzie jest Germania? Wskazuję na Trzebosz i na granicę. Jeszcze pytanie, ile kilometrów? Wyjaśniam, że nie więcej jak cztery. Teraz już uścisk dłoni na pożegnanie i słowa „Pamiętaj, w radzieckiej armii walczą również kobiety”. Widziałem drobne kobiece dłonie, nie pielęgnowane, jakieś dziwne czerwone, brudne, twarz zaczerwieniona od zimna i mrozu, dwa rzędy wspaniałych, pięknych kobiecych zębów i oczu, lecz koloru oczu nie pamiętam, lecz oczy te były nasze, swojskie, pełne przyjaznych błysków, jeszcze jakaś krótka narada przy czołgu, całe to bractwo wskoczyło na czołg i... pojechali razem z innymi czterema czołgami w kierunku na Trzebosz. Przez następne dwa dni przemaszerowały, raczej uciekały niemieckie ko-

---

umożliwiające chodzenie osobom kalekim lub z uszkodzonymi kończynami dolnymi; kule.

lumny wojskowe, znikł całkowicie niemiecki „Ordnung”<sup>153</sup>, raz wojsko, to znów cywile-uciekierzy, to znów transport-kolumna uciekających żandarmów spod Ostrowa Wlkp. Uciekali razem z rodzinami, czworo małych dzieci pozostawili zamrożniętych, na stałe w Bojanowie, dla odmiany jakiś oddział radzieckich czołgów, bateria artylerii, co kilka godzin jakaś strzelanina, kto, do kogo? Dzwoniło to żelastwo po zamrożniętych, zaśnieżonych ulicach, wychodziło się na ulicę, gdy było pusto, by znów, jak tylko było można, szybko, przy pomocy kolegów, chować się do domu. Dwa dni trwał niepojęty dla nas przekładaniec niemiecko-rosyjski, którego rezultaty były widoczne, na ulicach pozostawały trupy niemieckich żołnierzy. Jeden przypadek był dla nas zupełnie dziwny i przejął nas zgrozą. Około południa, w okolicach zakładu Blothnera<sup>154</sup>, przy ulicy w kierunku na Poniec, jakaś dłuższa, lecz chaotyczna strzelanina. Słyszymy, jak automatyczna broń ręczna dudni po domach i oknach. Po jakimś czasie, cisza. Wychodzimy z domu i co widzimy? Czterech lub pięciu radzieckich żołnierzy prowadzi rozbrojonych, okrwawionych, może grupkę dziesięciu również radzieckich żołnierzy, co się stało? Kim oni są? Podprowadzają ich do Rynku, postawiają pod mur domu, w którym przed wojną posiadał [warsztat] szewc SolarSKI<sup>155</sup> (obecny sklep obuwia GS-u) i roz-

---

<sup>153</sup> Niem. *Ordnung* – porządek.

<sup>154</sup> Zob. przyp. 33.

<sup>155</sup> Szewc SolarSKI nie był właścicielem domu. W rejestrze mieszkańców Bojanowa jest adnotacja o zamieszkiwaniu obuwnika Stanisława SolarSKiego w domu przy Rynku i o prowadzeniu

strzeliwują, walą seriami z pepesz, na murze i chodniku trupy, strzępy mózgów i kawałki ciał, nie wytrzymuję, podchodzę do jednego z żołnierzy i pytam, co to wszystko znaczy, w pierwszej chwili odtrąca mnie dość niegrzecznie, lecz widząc mnie podpartego na krukwiach i w żołnierskim polskim płaszczu wojskowym, wyjaśnia, że „to włosowcy, zdrajcy ich armii”, że ze schwytanymi takimi właśnie żołnierzami postępują w taki to sposób. Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, kto to był Własow, jaką rolę odegrała jego armia lub dywizja, znacznie później wyjaśniło się wszystko. Na dzień 25 stycznia 1945 roku zwołano na Rynku wiec-zebranie. Naturalnie musiałem być. Po kilku minutach oczekiwania w drzwiach magistratu ukazał się Wojciech Janowicz (przedwojenny robotnik i bezrobotny) nieżyjący już, a obok niego dwóch polskich żołnierzy. Nie widziałem, kto spoza nich wysunął naszą biało-czerwoną. Nieznany żołnierz poinformował nas, że żołnierze radzieccy są już blisko Odry, wraz z nimi walczą polscy żołnierze z utworzonego w Związku Radzieckim polskiego wojska, jeszcze coś mówił, lub pragnął mówić, lecz ktoś zaintonował „Jeszcze Polska nie zginęła”. Pierwsze słowa były raczej niezrozumiałe, krtań była pełna, nie można było słowa wypowiedzieć, w tym przypadku wyśpiewać, lecz po paru chwilach, owe wzruszenie, owa żalność minęła. Koniec pierwszej zwrotki ludzie śpiewali pełną piersią, tylko dziwne mieli oczy, jakby oszklone, niejedna łza płynęła po policzkach, nie było takich, którzy łzy usu-

---

warsztatu obuwniczego. Zob. APL, zespół nr 34/13/0, Akta miasta Bojanowo, sygn. 106, s. 49–50.

wali... po zakończeniu chóralnego śpiewu, żołnierze udali się z garstką naszych do magistratu, wiec był skończony, lecz z lewej strony wejścia, dumnie łomotała na zimowym wietrze nasza białoczerwona. Za niepełną godzinę na wszystkich polskich domach powiewały nasze białoczerwone. Nie było ich dużo w owym czasie, według moich obliczeń, w Bojanowie zamieszkiwało około 75% Niemców. I tak powoli nastawało „nowe życie”. Koledzy okazali się prawdziwymi kolegami, papierosów miałem w bród, przynosili z rozbitych niemieckich sklepów. Z Gierłachowa, z majątku znajomy nam mleczarz, przytaszczył nam cztery konwie mleka, mleczarnia bojanowska była uszkodzona, mieliśmy tego mleka pełne wiadra i wanny. Terenia po ucieczce Niemców przybyła do nas, lecz musiała udać się do Żylic, gdzie oczekiwała na nią matka-staruszka, samotna kobieta. Może tydzień lub dziesięć dni po owym 22 stycznia, w godzinach wieczornych, pukanie do drzwi. Otwiera ojciec i słyszę głos kobiety „Czy tu zamieszkuje pan Józek, młody człowiek, który był w Lesznie w szpitalu?” Pamiętam, że bez kul, opierając się tylko o ściany i meble wyskakuję na korytarz, naturalnie to ona, siostra Wera! W cywilnym płaszczu, w wysokich oficerkach, z dziwną torbą przez ramię, tak, to ona. Przywitania, uściski, chaotyczne pytania i odpowiedzi, z jej strony „Jak noga?” Co dalej czynić? Jak leczyć teraz? I z mojej strony „Czy siostra była w ów dzień 18 stycznia na dworcu w Lesznie?” „Tak, byłam, widziałam cię, lecz nie mogłam do ciebie podejść...”, „Co siostra teraz robi? Gdzie się udaje? Gdzie habit?” Ucina

rozmowę i „Nie żadna siostra, lecz naturalnie normalnie jestem Wera, a ty Józef” dobrze, naturalnie, lecz co dalej? Pytania dotyczące jej osoby pozostają bez odpowiedzi. Natomiast radzi, że należy postarać się o zdjęcie gipsu, musi to wykonać lekarz, nogę należy prześwietlić, masaż, gimnastyka i „chcieć chodzić”... Chcieć chodzić to na pewno, lecz jak to będzie. Już nie siostra Wera, przenocowała u nas, siedzieliśmy do późnej nocy, cóż mogło opowiadać dwoje młodych ludzi, ludzi znających się tylko z widzenia. Lecz tematów było strasznie dużo i te z minionych lat, i te, które miały nam przynieść następne lata. Niedużo się dowiedziałem, kto to był, w jakim celu była w szpitalu, gdzie zdąża obecnie, wszystkie pytania na swój temat pozostawiała bez odpowiedzi, lecz w końcu wypowiedziała się, że „Naprawdę zrozum mnie Józku, że nie mogę nawet tobie powiedzieć o sprawach, o których mam zakazane mówić, lecz głowa do góry, ja jestem pewna, że w terminie dwóch lub trzech miesięcy załatwię wszystkie moje sprawy i... wrócę do ciebie, wrócę, ażeby już widzieć cię zdrowego, pokażesz mnie wasze okolice, których nie znam w ogóle, a może i tu w waszych okolicach znajdę pracę dla siebie, a może ty będziesz na mnie czekał?” Pożegnanie było więcej jak serdeczne. Odprowadziłem Werę do Rynku i tam, dzisiejszym autostopem udała się w kierunku Rawicza. Wsiadała na samochód pełen radzieckich żołnierzy, widziałem oczy pełne łez i smutne pożegnalne żegnanie ręką w czarnej rękawiczce, no cóż, i ja miałem oczy pełne łez, żegnałem nie ręką, lecz wzniesioną do góry kulą... Nie miałem

jej adresu, nie wiedziałem, gdzie jest. Ona też nigdy nie nadesłała żadnego listu, nawet kartki lub pozdrowienia przez inną osobę, przysłowiowy „kamień w wodę”. Po upływie kilku miesięcy dochodziłem wiadomości o niej w leszczyńskim szpitalu. Nikt nic nie wiedział. Ktoś za nią poręczył, ktoś przyjął, pracowała i na tym sprawa się zamknęła. Owa ruchawka<sup>156</sup> ludności ze wschodu na zachód, a wcale nierzadko i odwrotnie, zamazała wszystko w pamięci, przemieszała ludzi, jak na przysłowiowym sicie. Długo czekałem, bo pełne 11 miesięcy, na jakikolwiek znak życia, lecz takiego znaku nie otrzymałem i nie otrzymałem do dnia dzisiejszego... Lecz gips został zdjęty dopiero w drugiej połowie lutego, lecz już w szpitaliku w Poniecu i zaczęła się praca nad moją nogą. Pamiętam o słowach Wery „chcieć chodzić”..., dopiąłem swego, codziennie trzykrotne kąpiele, masaż, gimnastyka, pot ze mnie spływał, zęby zacinały wargi do krwi, lecz „moja noga musiała mnie być posłuszna” i była... Ileż to różnych tajemnic i do dziś niewyjaśnionych niosła w sobie II wojna światowa i owe ponad pięć lat okupacji. Lecz była wolność. Dla mnie ta wolność nie miała pełnych, różowych barw. W wieku 23 lat z usztywnioną nogą, z wielką niewiadomą co będzie, niewesołe były widoki, lecz byłem młody.

Należałoby na tym zakończyć, lecz jeszcze jedna sprawa, uważam, że musi być na tych stronach wyjaśniona, mianowicie „sprawa Kudełki”, owego

---

<sup>156</sup> Autor użył słowa *ruchawka* w znaczeniu „*ruch, przemieszczanie się*”.

„wolnego strzelca” z bojanowskiego Rynku z pierwszych dni września 1939 roku. W drugi lub trzeci dzień po owym 22 stycznia wracam z ojcem z Rynku, a naprzeciw nas kroczy jakieś dziwne chłopisko, płaszcz, spodnie wiszą na nim jak na przysłowio-  
wym kołku. Cera ziemista, jakiegoś nieokreślonego koloru, mocno opiera się na lasce, nogami człapie jak zupełny staruszek, naturalnie to Stefan Kudełka. Patrząc na ojca i na ową zjawę-mare, która wreszcie odzywa się jakimś drewnianym, suchym głosem, „No i co Józef, nie poznajesz mnie?”... Na to ojciec do niego „Dlaczego już wyszedłeś z domu?, „Nie gniewaj się, Jan, tylko do Rynku i wracam”... Ojciec uśmiechnął się pod wąsem i zabrał mnie do domu, dopiero pod wieczór otrzymałem dokładną relację z nieprawdopodobnej, a jednak prawdziwej historii. Gdy Niemcy wkroczyli do Bojanowa, rozpoczęli z miejsca poszukiwania za Stefanem. Szereg ludzi brano na przesłuchania, szukano, przesłuchiowano kilkanaście razy matkę Stefana, poszukiwano wszędzie, w okolicznych wioskach i miasteczkach, nigdzie, nawet żaden Niemiec nie spotkał, nie widział takiego „chłopczyka” o wadze około 130 kilogramów przy około 190 centymetrach wzrostu. Zginął, przepadł bez wieści... zajrzano do owego matczy-  
nego domu składającego się z dwóch izb i dwóch alkierzyków, gdzie mógł się schować taki kolos? Nie do pomyslenia, a jednak do pomyslenia, właśnie w tym domu, raczej domku, w jednym z alkierzyków został naturalnie jeszcze przez Stefana wykopany i obudowany deskami „schowek”, zamaskowany sta-

raż komodę, która tylko z zewnątrz posiadała szuflady, wewnątrz była pusta. Właśnie w takim schowku wytrzymał ponad pięć długich, strasznych lat... Nocami wyczołgiwał się spod komody i zażywał trochę ruchu, to było wszystko. Lecz taki człowiek musiał jeść, po prostu żyć. Wiedzieli o tym schowku matka Kudęłkowa, moi rodzice i bracia Jachowscy, pracownicy gazowni. Słyszając to wszystko, zaczynałem sobie coś kojarzyć, częste odwiedziny matki Stefana u nas w domu, zawsze wychodziła z jakimś pakunczkiem, brałem to na karb szycia, które skuteczniała mama. Przypominam sobie dokładnie jej płaczliwy głos, gdy zwracała się do ojca „Nic nie wiesz o Stefanie?”, „Czy Niemcy mają już jakąś wiadomość o nim?”, wychodziła zapłakana, myśmy to zawsze przeżywali po swojemu często-gęsto zagabywała miejscowych Niemców, czy nie wiedzą już coś na temat syna, kochające z jakąś miłością – serce matczyne. Historia nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa.

I tak kończą się opowieści-wspomnienia. W drugiej połowie marca, „moja noga” usłuchała mnie tak dobrze, że już prawie swobodnie chodziłem o lasce. Nastawała pierwsza Wiosna, odnosiliśmy wrażenie, że słońce świeciło po polsku, mało tego, majowe bzy kwitły już jako polskie bzy, ba, nawet słowiki kłaskały po nocach chyba też po polsku... Minęło niepowrotnie strasznych pięć lat okupacji, pięć lat najpiękniejszych lat młodości, uważam, i nie tylko ja, że my, roczniki „kolumbów lat 20 i 22” nie mieliśmy młodości, nie wiemy, co to prawdziwa młodość, nasza młodość – okupacyjna nie była



przecież młodością. Wchodziliśmy w życie powojenne, wcale niełatwe, nieproste, z dużym balastem przeżyć owych pięciu lat, lecz nikt nie oglądał się za siebie, każdy zakasywał rękawy, pluł w garść i brał się za robotę. Pracy było wszędzie w bród. Lecz nikt nie płacił, nikt nie wspomniał o wynagrodzeniu. Pierwsza moja wypłata w miesiącu czerwcu 1945 roku, gdy pracowałem w biurze stacyjnym stacji PKP Rawicz, wynosiła 245 złotych polskich, słownie dwieście czterdzieści pięć złotych. Do tego czasu otrzymywałem „wynagrodzenie” w postaci „żywności”, była to rąbanka, chleb, cukier, mąka, a później paczki z UNRR-y<sup>157</sup>. Lecz nikt nie narzekał, jakże często odprawiałem drużyny konduktorskie na „żelazne szlaki”, z których to drużyn kolejarze pojadali chleb posypany cukrem... W owym czasie tej Wolnej Wiosny mieszkalem w domku przyszłej teściowej, w Żylicach pod Rawiczem i tylko przez drogę o gospodarstwo mojej gehenny, gospodarstwo to zajął Polak. Byłem kilkakrotnie w podwórzu, wchodziłem do domu, do zabudowań gospodarczych, lecz stale na oczach widziałem postać „Szwarc-Emmy”, to było okropne, może w tamtych czasach, gdyby ta kobieta zjawiała się na długość ręki, nie uszłaby z życiem. Lecz czas leczy wszelkie namietności i złość, i gniew, i krzywdy. Znacznie później, po kilku latach, pozostało już tylko wspomnienie, lecz chęć odwetu gdzieś zanikła, spaliła się, stała się czymś abstrak-

---

<sup>157</sup> UNRRA – Organizacja Narodów Zjednoczonych do Spraw Pomocy i Odbudowy (ang. United Nations Relief and Rehabilitation Administration), założona w Waszyngtonie 9 listopada 1943 r. W Polsce działała w latach 1945–1948.

cyjnym. Nowe życie stawało się piękne, mimo trudności powojennych, przeróżnych kłopotów i zmar-twień. Życie szło do przodu... Zacieraly się wszelkie krzywdy, wszelkie poniżenia godności człowieka przez człowieka... nowe życie szło do przodu.

Rawicz, w grudniu, już 1981 roku

Józef Stasiak



## Spis treści

O autorze wspomnień (Barbara Ratajewska)	7
Jak doszło do spisania wspomnień przez Józefa Stasiaka (Barbara Ratajewska)	17
Józef Stasiak Życie codzienne w okupowanych miastach i wioskach województwa leszczyńskiego w latach 1939–1945. Miejscowości: Bojanowo, Rojęczyn, Sowiny, Żylice, Trzebosz	21

